



POEZYE,

III.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.

	złr.
Dr. Antoni J. Trzy opowiadania historyczne, 1 tom	2 —
— Opowiadania historyczne, 1 tom	3 —
1) Pod pół księżycem. 2) Książę Sarmacji. 3) Odwiedziny monarsze. 4) Na kresach. 5) Dwór Tulczyński. 6) Losy pięknej kobiety. 7) Tynna w końcu XVIII. wieku.	
— Nowe opowiadania historyczne	3 —
1) Pod krzyżem 2) Losy kresowego miasteczka. 3) War-tabet. 4) Zemsta kozacza. 5) Porwanie króla. 6) Niedoz-szłe legiony.	
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	5 60
BIBLIOTEKA POLSKA. Każdy tom broszurowany 1 złr. 80 ct., w oprowie	2 30
I. II. Kraśiński Z. Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy—III. VI. Mickiewicz Adam. Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy.—VII—X. Zaleski B. Poezye. Wydanie nowe krytyczne, przejrzone przez Dra Węclewskiego.—XII. Niemcewicz J. Jan z Tęczyna Powieść histor. — XIII — XVI. Słowacki Juliusz. Dzieła. Wyd. przejr. przez prof. dra. A. Małeckiego. XVI.—XIX. El...y, (Asnyk Adam.) Poezye, 3 tomy. XX. XXII. Małecki A. Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wyd. drugie znacznie pomnożone, 3 tomy	2 40
Bolesławita B. Hybrydy, powieść współczesna	2 40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna	2 40
— Pamiętnik panicza — Dziennik Serafyny	2 40
— Nad modrym Dunajem, Nowella	2 40
Chłędowski J. Sylwetki społeczne	2 40
Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej	2 40
Kaczkowski Karol. Wspomnienia 1808 — 1831 z papierów pozo-stałych po ś. p. K. K. gen. szt. lekarzu wojsk polskich, ułożył T. O. Orzechowski, 2 tomy	4 20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagielly	1 20
— Z podróży Oświęcima	1 80
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie, 2 tomy	3 60
Kubala L. Dr. Szkice historyczne, dwie serye każda po	3 40
Lemcke K. Estetyka, 2 tomy	6 —
Lisko X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4 20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane wstępem objaśnione przez L. Siemieńskiego	2 80
Listy Juliusza Słowackiego 1830 — 1848, 2 tomy	5 —
Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski, tom III. Wydanie nakład. Akad. Umiejęt.	12 —
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2 20
Pamiętnik damy polskiej z XVIII. wieku	1 80
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy	2 40
Wilkońska P. Na Teraz. Powieść	2 40
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cyta-deli warszawskiej i na Syberji	2 60
Zakrzewski W. Powstanie i wzrost reform. w Polsce	2 40
Zwierzciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus.	3 20

POEZYE

PRZEZ

EL...Y.

III.

INSTYTUT
BADAN LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
01-79 Warszawa
Tel. 22-53-53, 25-22-31 w. 42

LWÓW,

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta.

1880.



Kraków. Druk Wł. L. Anczyca i Spółki.

46

<http://rcin.org.pl>

PRZEMINAŁ CZAS.

Przeminał czas!. przeminał czas
Tęczowej cudów powieści,
Już opustoszał święty las
I czarów w sobie nie mieści.

Już w nim nie mieszka żaden bóg,
Faun płochy ani Dryada,
Na skrzyżowaniu ciemnych dróg
Żadne już widmo nie siada.

Zaklęty zamek poszedł w dym,
Postrachu więcej nie szerzy...
I Meluzyna głosem swym
Nie wabi błędnych rycerzy.

Już czarodziejski prysnął krąg,
Serc widzeniami nie pieści —
Wyrwał się nagle z ludzkich rąk
Geniusz cudownych powieści!

Przemiął czas! przemiął czas
Rapsodów sławy i miecza,
Zmały pieśni pośród nas,
I pierś zmała człowieka!

Wolności także zamarł śpiew —
Nie ma skrzydlatej hussaryi,
Co za ojczyznę lała krew,
Padając z imieniem Maryi.

A bohaterstwa jasny cud,
Co niegdyś blasków lśnił tęczą,
Dzisiaj wyklina biedny lud,
Żelazną ściśnion obręczą.

Niezrozumiałym już się stał
Oreżny szczęk epopei,
Dla znikczemniałych smutnych ciał
Bez męztwa i bez nadziei.

Przycichła pieśń i kona już
Nie budząc żadnego echa...
Próżno się czepia zwiędłych róż,
Napróżno w łzach się uśmiecha.

Próżno na grobach w eichą noc
 Skarży się smutna i blada,
 Straciła dawną swoją moc,
 Sercem człowieka nie włada.

On się już wyrzekł złotych mar,
 Jasnego zaparł królestwa —
 I nieśmiertelny ducha dar
 W otchłanie strącił nicestwa.

I runął cały wielki gmach,
 Wzniesiony wiarą pokoleń...
 Została nędza — niemoc — strach,
 I ojców spruchniała goleń!

Lecz błysnie dzień! lecz błysnie dzień,
 W którym duch ludzki na nowo
 Ożywi zeschły życia pień
 Girlandą kwiecia różową,

I z prochu, w który dziś się wpił
 Na dawnych marzeń ruinie,
 Zaczepnie zapas twórczych sił,
 I znowu w niebo popłynie.

A ideału jasny kwiat
 Z zbutwiałych obrany liści,
 Napełni znowu wonią świat,
 Zakwitnie pełniej i czyściej.

I żywych natchnień złota nieć
 Przewiąże prawdy zdobyte —
 Co nieśmiertelne, musi żyć!
 Choć zmienia kształty zużyte.

A wtenczas pieśń powstanie znów,
 Cudowną moc swą odświeży,
 I z labiryntu ciemnych snów
 Na światło dzienne wybieży.

Rozpostrze tęczę rajskich farb
 I nowe jutrznie zapali,
 Najczystszy — ludzkich natchnień skarb
 Na śpiewnej unosząc fali;

I nieśmiertelną życia treść
 Dobędzie z prochu i kału,
 I rzeczywistość zdoła wznieść
 Za sobą — do ideału.

A bohaterstwo dawnych dni
Uświęci w walce ostatniej,
Gdzie młodość zmaże plamy krwi
I uścisk zwycięży bratni.

POWRÓT DO DOMU.

<http://rcin.org.pl>



śró*ś*ród cich*ę*j nocy, do wioski, co w dole
Po nad srebrzystym rzucona strumieniem,
Zdażał podró*ż*ny i witał westchnieniem
Wysmukłe z dala widzialne topole,
Chocia*ż* zmęczony przyspieszał wciąż kroku,
Jakby przypuszczał, że mu sił nie stanie
I całą duszę umieścił w swym wzroku
Na pierwsze, długie, łzawe powitanie.
Świadomy drogi przez lasek brzozowy
Zbiegł na dół ścieżką i zniknął w olszynie,
A*ż* stanął wkrótce na mostku przy młynie,
Słuchając jego z bocianem rozmowy.

Co mu powiedział bocian i młyn stary,
Swoim klekotem płynącym po rzeczce?
Jakie obudził wspomnienia i mary,
Ten głos dwóch starców w nieustann*ę*j sprzeczce?
Nie wiem — lecz silni*ę*j poblady mu lica,
W srebrzys*ć*m światle bladego księ*ż*yca,
I hole*ś*ć w niem*ę*j utopił zadumie,
Szukając wspomni*ę*ń w śpi*ę*wnym rzeczki szumie...

Wiatr mu z bliskiego przynosił ogrodu
 Znajomych kwiatów woń pamiętną, miłą...
 I zaczął marzyć jak niegdyś za młodu,
 Jak gdyby w życiu nic się nie zmieniło —
 I cała przeszłość stanęła tak żywa,
 Skupiona w jednym tęczowym obrazku —
 I pierzchłe złotej młodości ogniwa
 Nabrały teraz nieznanego blasku.
 Cichego szczęścia najmniejsze wypadki,
 Jasnym płomieniem świecące ognisko,
 I te najśodsze pocałunki matki,
 I drugie również anielskie zjawisko,
 Wszystko to widział w dziwnej mgle niebieskiej,
 Jak poplątane cudne arabeski.

Wydarł się wreszcie tój widzeń ponęcie,
 Co pieścąc serce krwawi je zarazem,
 Zwrócił się spiesznie na drogi zakręcie
 A twarz się znowu powlokła wyrazem
 Owój spokojnej, bezbrzeżnej boleści,
 Co się niczego już w świecie nie lęka
 I żadnej w sobie nadziei nie mieści.

Dalój za młynem stała Boża męka
 Na skrzyżowaniu drożyn pochylona,
 I wyciągnęła czarne swe ramiona
 Z błogosławieństwem po nad ciche pole,
 Patrząc z miłością na ludzką niedolę.

Minął ją zwolna pochyliwszy głowy
I poszedł prosto na cmentarz wioskowy.

Topole, brzozy i wierzby płaczące
Wieńczyły miejsce spoczynku do koła,
Schylając swoje zadumane czoła
Jakby piastunki do snu śpiewające.
Tam pod ich strażą rozsiadły się wzgórza
Gdzieniegdzie w czarne ubrane krzyżyki,
Gdzieniegdzie polna wczółgała się róża,
Lub zielsko bujne, lub też krzaczek dziki.

W milczeniu stąpał wśród mogił podróżny,
Bojąc się przerwać uroczystej ciszy —
Nadstawiał ucha na każdy szmer próżny,
Jakby przypuszczał, że jeszcze usłyszy
Głos, co go wołać zacznie po imieniu;
Z bijącym sercem przed siebie spoglądał,
Jakby na jasnym księżycu promieniu
Jaki cień drogi jeszcze ujrzeć żądał.


Lecz nic nie było słyhać — prócz tych szmerów
Co się być zdają nadziemskich eterów
Falistem drzeniem — i spływają w pieśni,
Gdy je noc ujmie w dźwięk i ucieleśni,
I nic nie widać — prócz tój gry znikomėj
Drżącego światła i przelotnych cieni,
Która na fali powietrza ruchomėj,
Niepewne kształty rysuje w przestrzeni,

I z krzyżów, krzewów i głazów cmentarza
Coraz to nowe widziadła wytwarza.

Lecz ujrzał za to w księżycowym blasku
Wśród innych mogił kamienny grobowiec —
Spojrzawszy — przykląkł na ziemię wędrowiec
I złożył głowę na wilgotnym piasku,
I przytulony do zimnego głazu,
Leżał bez ruchu, życia i wyrazu.

Łza mu z suchego nie pociekła oka,
Ani też jękiem nie drżała pierś pusta —
Modlitwy nawet nie szeptały usta —
Bo wszystko boleść stłumiła głęboka
Rzucając sercu, co padło zranione,
Nieprzytomności i szalu zasłonę.

KRÓL JUBA.

hodź, Petrejuszu, rzecze król Juba —
Po co nad klęską chmurzyć swe czoło —
Nie czas żałować... skończona próba —
Potrzeba zginać wesoło!

Cezar zwycięzca — my zwyciężeni —
Już się nie dźwigniem więcej z pogromu;
Pole zabitych krwią się rumieni
I nie ma walczyć już komu.

Cezar nas wszystkich osaczył w matni,
Na cóżby wszystkie skargi się zdały!
Czy my to pierwsi? czy my ostatni,
Co nędznie ginie bez chwały?

Ktoś musi zawsze ustąpić z drogi...
Dziś na nas kolój — oni są górą...
Lecz, Petrejuszu, klęę cię na bogi...
Czemu spoglądasz ponuro?

Czy żal ci tęczy złudzeń rozwianej?
 Żal ci wolności jasnych sztandarów?
 Rzymu — co będzie dźwigał kajdany
 Pod stopą swoich cesarów?

Żal ci szlachetnej myśli co ginie
 A której inni podjąć nie zdolni?
 Rozpogódź czoło, mój Rzymianinie,
 Zgon nas od troski uwolni.

Ja, barbarzyńca, syn dzikich plemion,
 Nie będę waszym rozpaczom wtórzył;
 Gdy lud zwycięzcy gnie się do strzemion,
 Ma los na jaki zasłużył.

Ja, barbarzyńca, nie znam co smutki,
 Walczyłem z wami wiernie do końca —
 Teraz chcę jeszcze przez ten czas krótki —
 Ucztować do wschodu słońca.

W moim pałacu czeka biesiada,
 Więc ciebie na nią zapraszam w gości —
 Zanim nam usta zamknie śmierć blada,
 Wypijem na cześć wolności!

Cóż, miły gościu? czyż nie ochoczo
Bawim się tłumiąc myśli złowieszcze,
Zanim nas tutaj wrogi zaskoczą,
Do picia mamy czas jeszcze.

Niech żyje słodka winna jagoda!
Niech żyje napój zesłany z nieba!
Takich nektarów zostawiać szkoda,
Amfory skończyć potrzeba.

Więc prędzej czary wychylmy do dna,
Każda z nich z czoła chmurę nam strąca,
Niech żyje męztwo i myśl swobodna,
Niech żyje wolność ginąca!

Chodź, niewolnico, moja ty biała,
Śnieżnym ramieniem opasz mi szyję;
Niech żyje powab pięknego ciała,
Cypryjskie bóstwo niech żyje!

Weź jeszcze swoją lirę do ręki
I śpiewaj grecką piosnkę miłosną,
Niech żyją pieśni rozkoszne dźwięki,
Od których serca tak rosną.

Dość... dość, Greczynko! dolej nam wina
I ucisz ust twych śpiewne słowiki.
Niech nam numidzka teraz dziewczyna
Zatańczy taniec swój dziki.

Dosyć i tańca, jutrzienka chyża
 Niedługoienne światło odnowi,
 Więc nasza uczta także się zbliża
 Teraz ku swemu końcowi.

Wszystko się kończy co się zaczyna,
 Czy złe, czy dobre losy człowiecze...
 Ostatnią czarę spełnijmy wina
 I weźmy w dłonie dwa miecze.

Zmierzym się z sobą, tak, dla zabawy —
 Wiem, że się stałą zabawim ładnie.
 Komu los będzie sprzyjać łaskawy,
 Ten z ręki drugiego padnie.

W walce umierać jakoś najgładziej,
 I cała przykrość namysłu znika.
 Kto pozostanie niech sobie radzi,
 I ginie z rąk niewolnika.

Cóż, Petrejuszu? rozjaśniasz lica
 I za żelazo chwytasz z pośpiechem?
 Mój pomysł ciebie widać zachwyca,
 Bo usta krasisz uśmiechem!

A więc skrzyżujmy nasze oręża,
 O cios śmiertelny będziem się spierać,
 Walczmy jak wrogie, walczmy jak meże,
 Z których chce każdy umierać.

Co? ty się chwiejesz pod moim ciosem...
Padasz na ziemię o! Rzymianinie...
Słusznie żeś został wybrany losem,
Wszak byłeś u mnie w gościnie.

Musisz mi przyznać, że byłem hojny,
Niosąc ci w końcu ten dar żelazny —
Już nic nie pragniesz... jesteś spokojny,
Poległszy z ręki przyjaznej.

Teraz i na mnie nadchodzi kolój...
Daremnie żądać pomocy bratniej —
Greczynko! jeszcze wina mi dolój,
Daj pocałunek ostatni!..

Hej, niewolniku! zwiędły mi róże,
Przygotuj świeży wieniec na skronie,
Popraw draperye na mej purpurze —
A teraz — ujmij miecz w dłonie

Posłuchaj chłopcze... wolnym cię robię
Tylko idź ślepo za mym rozkazem:
Kiedy różami czoło ozdobię —
Przeszyj mi piersi żelazem!

Ociemniały Tamyris.



Nwiedomego starca prowadzi pacholę,
Wspierając drżące kroki. Z ramion jego spływa
Szmata spłowiałej purpury, a na jego czole
Lśni złocisty dyadem. Broda długa, siwa,
Twarz blada, co powagę i smutek wyraża,
Martwo się patrzą w błękit dawno zgasłe oczy —
Jakby widmo królewskie w łachmanach nędzarza,
Tak on, wsparty na chłopcu, z trudem naprzód kroczy;
Długą przebyli drogę; — starzec, blizki zgonu,
Dźwigając ciężkie nieszczęść i lat swoich brzemię,
Kazał się wieść na święte wzgórze Helikonu,
By tam pożegnać razem niebiosa i ziemię.

Po drodze często gawiedź przystaje ciekawa,
Otacza ich i głośno urąga starcowi,
Mówiąc: „Oto Thamyris, który bogów prawa
„Obwieszczał, przyrzekając, że wiek złoty wznowi;
„On to jest co w świat wróżby rzucając fałszywe,
„Mienił się muz kochankiem i bogów wysłańcem,
„Co był królem i wieszczem, aż niebiosa mściwe
„Zrobiły go żebrakiem i ślepym wygnańcem“.

Lecz w pielgrzymie już gniewu żadnego nie budzi
 Ni natrętna ciekawość, ani gorzkie słowo;
 Obojętny on teraz na szyderstwo ludzi,
 I w dalszą idzie drogę z pochyłą głową.

Tak zwolna zaludnione rzucili równiny,
 Minęli niższe stoki i lesiste wzgórza,
 I pnąc się przez wąwozy i skał rozpadliny,
 Stanęli, gdzie wierzchołek w błękitach się nurza.
 Tam pod kamienną ścianą, wśród łomów zwaliska,
 Co tworzy tajemniczą grootę lub świątynię,
 Kryształowemi wody czysty źródło wytryska
 I z melodyjnym szmerem splywa po wyżynie.
 Po nad bijące starzec przybliżył się źródło,
 I kazał pacholeciu wracać w strony swoje —
 Poczém sam pozostawszy, twarz swoją wychudłą,
 Przyklęknąwszy, pochylił nad szumiące zdroje,
 I zaczął zwolna mówić:

„O boskie dziewice!

„Życie moje ucieka, noc już moja blisko;
 „Jako starzec przychodzę nad świętą krynicę,
 „Do was com dzieckiem widział nad moją kołyską.
 „O siostry nieśmiertelnej piękności i chwały!
 „Bądźcie znów mi łaskawe, tak jak za dni onych,
 „Gdyście mię na dziewiczym łonie piastowały
 „I mlekiem swoich pieśni karmiły natchnionych.
 „Nie szcędźcie mi ostatniej pociechy na ziemi!
 „Noc ciemną, która z oczu i z serca nie schodzi,
 „Rozświećcie mi nad grobem blaskami swojemi,

„Niech spokojny odpłynę na umarłych łodzi.
 „Niech mi nie przyjdzie zwątpić w rozpaczy i trwodze
 „O tém, co mi na drogach żywota świeciło ;
 „Niech po przebytych burzach smutny nie odchodzę,
 „Sądząc, że wszystko tylko prózną męką było !
 „Jeżelim uwiedziony ziemskiej pychy szalem ,
 „Zapominał żem od was słowo brał natchnione...
 „Jeśli w proroczéj dumie wam dorównać chciałem,
 „Zrywając tajemniczą przyszłości zasłonę...
 „Tom dość był ukarany męką życia długą
 „Za winy, które z serca wierzącego wyszły ;
 „Bo zresztą wiernym byłem waszych natchnień służą,
 „Wiodąc znękaną ludzkość do harmonii przyszłej.
 „Wyście mi lepszą świata odkryły połowę ,
 „Co nad zamętem walki łśni pogodą jasną ,
 „Pozwoliły podziwiać jutrzeńki różowe ,
 „Co rozświecają przyszłość i nigdy nie gasną.
 „Wiecznych waszych melodyj oddalone echo
 „Przenosiłem na drżące struny swojej lutni ,
 „Upadające serca krzepiłem pociechą
 „Rzucając swoje pieśni tym co byli smutni !
 „Lecz próżnom zapowiadał jasnych bóstw przybycie
 „I zwiastowałem nadejść mający wiek złoty,
 „Co niebiańską pogodą opromieni życie
 „I zakwitnie tryumfem miłości i cnoty ;
 „Próżnom lepsze pragnienia w pierś zaszczepiał gminu
 „I sam wraz z pieśnią swoją stawałem na czele ,
 „Podnosząc słabe serca, wzywając do czynu ,
 „I ukazując wyższe, doskonalsze cele...

„Niebiosa potwierdziły wymiarem téj kary
 „Wyrok, co nad zuchwałym ciężył świętokradcą ;
 „Poszedłem na wygnanie żebrak ślepy, stary,
 „Co byłem ludu mego i wieszczem i władcą.
 „Dzisiaj przychodzę do was w śmierci méj godzinie,
 „Byście mi rozwiązały zagadkę żywota :
 „Czemu, gdy wszystko tutaj jak sen marny ginie,
 „Do idealnych światów wiedzie nas tęsknota ?
 „Czemu nam odsłaniacie swoją piękność skrycie ?
 „Czemu zbudzoną ze snu potrząsając duszą,
 „Niezmierzone pragnienia w piersiach nam szczepicie,
 „Jeśli nieugaszone wiecznie zostać muszą ?
 „Lub jeśli waszych natchnień opiekuńcza władza,
 „Tak, jakem wierzył przedtém, nie jest czczym pozorem,
 „Lecz z błędów i niedoli ludzkość wyswabadza
 „I posuwa ją naprzód wyznaczonym torem ;
 „Powiedzcie, czemu same spotkałem zawody,
 „Tracąc jedno za drugim wszystkie światła moje ?
 „Czemu, zapowiedzianéj dla duchów pogody
 „Nie doczekawszy, smutny dziś nad grobem stoję ?“

Umilkł starzec i w błękit ramiona błagalne
 Wyciągnął, jakby niebios chciał dosięgnąć niemi,
 I ubłagać dla siebie bóstwa niewidzialne,
 Żeby dały ostatnią odpowiedź na ziemi.
 Tak klęczał, zachodzącym słońcem oświecony,
 Co mu na twarz rzucało ciepłą światła falę,
 Siląc się przedrzeć ciemne źrenic swych zasłony,
 By się raz jeszcze przyjrzeć dnia jasnego chwale.

Wyteżył swoje ucho w uroczystej ciszy...
 I chwycił wszystkie światów najłżejsze oddechy...
 Czekał z utęsknieniem czyli nie usłyszy
 Śpiewnych dźwięków nadziei, łaski i pociechy.
 A oto wśród cichego teraz pożądania,
 Zdaje mu się, że w boskich światłach majestacie
 Czarna mgła ustępuje i oczom odsłania
 Nieśmiertelną piękności dziewicze postacie;
 Zdaje mu się, że słyszy melodyjne głosy,
 Co niebieskim spokojem przepełniają łono,
 Jakoby ciche krople spadającej rosy
 Na ziemię całodziennym skwarem rozpaloną;
 I widzi zstępujący na złotym promieniu
 Ten sam orszak świetlany, co niegdyś, przed laty,
 Unosił go z tej ziemi pomroki i cieniu,
 Ukazując jaśniejsze, doskonalsze światy.
 Znowu go pieści światła i harmonii fala,
 Znow dawna ufność w serce powraca nieznacznie,
 Znowu go chór niebianek swym wieńcem okala,
 I tak na jego skargi odpowiadać zacznie:
 „Niewdzięczny! ty śmiesz jeszcze słać nam skargi swoje
 „Za łaski cośmy hojnie zlewały na ciebie;
 „Nam wyrzucać błędzącej duszy niepokoje,
 „Co mimo boskich światłach w ciemnościach się grzebie!
 „Czy tak cię przygniółł marzeń zbyt śmiały upadek?
 „Czy tak cię chwila bólu przeraża i trwoży?
 „Żeś się zbłąkał wśród życia pozornych zagadek
 „I zatracił ślad jasny wiecznej myśli bożej.


„Wy śmiertelni bieg świata wyłącznie mierzycie
 „Miarą krótkich dni swoich i w tej jedynj chwili
 „Chcielibyście to wszystko widzieć już w rozkwicie,
 „Czego dopiero zasiew bogowie rzucili,
 „I kiedy wam ich łaska tajną myśl odsłoni,
 „Wskaże cel, ku któremu posuwać się trzeba,
 „To wy go chcecie zaraz ująć w swojej dłoni,
 „I nie dosięgłszy .. próżno oskarżacie Nieba.
 „Nie możecie zrozumieć, że ten tajemniczo
 „Świecący wam nad głową ideał daleki,
 „Wiecznie nie uchwyconą jest dla was zdobyczą,
 „Ku której się przybliżać należy przez wieki.
 „Nie doskonałość bowiem waszym jest udziałem,
 „Nie tryumf, co już żadnej nie podlega zmianie;
 „Lecz postęp, okupiony dążeniem wytrwałem —
 „Dobra, prawdy i piękna wieczne pożądanie.
 „To wasz skarb, który szczęście najwyższe stanowi,
 „I przepaściste drogi pochodu wyzląca;
 „Z nim możecie iść śmiało na przekór losowi,
 „Pewni że nie zmarnieje nigdy wasza praca.
 „Jeśli więc samolubstwem i dumą popchnięty,
 „Chciałeś za życia ujrzeć dokończone dzieło;
 „To musiałeś zawodu wypić gorzkie męty
 „I zropaczyć że z tobą wszystko zaginęło;
 „Lecz jeśli, po doznany upadku i wstydzie,
 „O przyszłe losy świata dręczy cię obawa,
 „Jeżeli ci o prawdę twoich natchnień idzie,
 „A niezmiennosc nędz ludzkich bólem cię napawa;

- „To pociesz się, śmiertelny! Cel co wam jaśniej
„W mgłach przyszłości, ten nie jest złudzeniem zwo-
[dniczem ;
„Nie napróżno Niebiosa dały wam nadzieję,
„I szlachetne pragnienia, niezgaszone niczem.
„W ciągu wieków, wśród ciągłych zmian i przeobrażeń,
„Coraz więcej świat boskich przyswaja promieni,
„I to co należało do dziedziny marzeń,
„W niezłomną rzeczywistość później się przemieni.
„Przyjdzie czas w którym wszystkie twe natchnienia
[wieszczce,
„Co dzisiaj jak sen marny w ciemność się rozwiały,
„Kiedyś po twojej śmierci zmartwychwstaną jeszcze,
„I ozdobią cię blaskiem niespożytej chwały.
„Przyjdzie czas, gdy pieśń twoja, dziś martwa i głucha,
„Znow idealnem tchnieniem przejmie ludzkość młodą,
„I ten pośmiertny tryumf tęskniącego ducha,
„Będzie za mękę życia sowitą nagrodą“.
-

BAŚŃ TĘCZOWA,

poświęcona

F. V. Kvapilovi.

d kolebki biegła za mną
Czarodziejska baśń tęczowa,
I szeptała wciąż do ucha
Melodyjne zaklęć słowa.

Urodzona nad wieczorem
Z cichych gawęd mych piastunek,
Spała ze mną, na mych ustach
Kładąc we śnie pocałunek.

I budziła się wraz ze mną,
I wraz ze mną ciągle rosła,
I z kołyski na swych skrzydłach
W jakiś dziwny świat mnie niosła...

Po nad morza purpurowe,
Po nad srebrne niosła rzeki,
Po zwodzonym moście tęczy
W cudowności świat daleki...

Otworzyła mi zaklęciem
Brylantowy w skałach parów —
I wkroczyłem raz na zawsze
W kraj olbrzymów, widm i czarów;

I zamknęły za mną wrota
Jakieś wróżki czy boginie,
Więc na całą życia kolej
Szedłem błędzić w tej krainie.

W tej krainie, w której wszystko
Ożywioną bierze postać,
W której każdy głaz ma duszę
I człowiekiem pragnie zostać...

Złotolistnym szedłem gajem,
Gdzie się wszystko skrzy i złoci,
Gdzie zakwita skryty w cieniu
Tajemniczy kwiat paproci;

Szedłem gajem, gdzie dokoła
Śpiewające szumią drzewa,
Gdzie młodości wiecznej źródło
Czyste wody swe rozlewa;

I witały mnie po drodze
Rozmarzone oczy kwiatów,
Co patrzyły tak wymownie
W niezmierną przestrzeń światów.

I witały ludzkim głosem
Różnobarwnych ptasząt chóry,
Ukazując dalszą drogę
Nad przepaści brzeg ponury.

Ja słuchałem śpiewnej wróżby,
I z ożywczój piłem fali,
I w głąb dzikszéj coraz puszczy
Niestrwożony szedłem dalej.

Próżno groźne widma straszą,
Próżno kłęby gadzin syczą,
Biegłem naprzód zapatrzony
W jakąś jasność tajemniczą.

I przebyłem czarne puszcze,
I spienionych wód odmęty,
I stanąłem u stóp góry
Prostopadle na dół ściętéj.

Na jéj szczycie błyszczał zamek,
Kryształowy gmach olbrzyma,
Co zakłębem w swojéj w mocy
Najpiękniejszą z dziewic trzyma.

Przed zamczyskiem stoją smoki,
I te paszczą swą czerwoną
Ogień złoty i różowy
Pod obłoki w górę zioną,

Swe spiżowe jeżąc łuski
Bronią skarbu zaklętego,
Najpiękniejszêj z wszystkich dziewic
W kryształowym zamku strzegą.

Jednak mimo czujnej straży
Jam ją ujrzał na skał szczycie,
I odgadłem, że tu przybył,
Aby dla niêj oddać życie.

Miała gwiazdę na swém czole,
Pod nogami sierp księżyca,
Błękit niebios w swoich oczach,
I aniołów cudne lica;

I od razu swém spojrzeniem
Zaszczepiła miłość w duszę —
I poznałem, że koniecznie
Do niêj w górę dążyć muszę.

Więc po nagiêj, gładkiêj ścianie,
Zapatrzony tylko na nią,
Na powojów wiotkich splotach
Zawisnąłem nad otchłanią.

Coraz wyżej pnąc się hardo,
Już widziałem ją przy sobie...
I w zachwycie do królewny
Wyciągnąłem ręce obie.

Miałem schwycić ją w objęcia...
 Gdy powojów pękły sploty —
 I upadłem w głąb otchłani,
 Gdzie z ran ginę i tęsknoty.

Lecz choć z serca krew upływa,
 Choć w przepaści ciemnej leżę,
 Jeszcze wołam: „Za nią! za nią!
 Idźcie gonić, o rycerze!“

„Idźcie piąć się w górę, w górę!
 Po nad ciemnych skał krawędzie;
 Może przyjdzie kto szczęśliwy,
 Co ją weźmie i posiedzie.

„Choć nie dojdzie — chociaż padnie,
 Przecież życia nie roztrwoni,
 Bo najlepsza cząstka życia
 W takiej walce i pogoni.

„Warto, choćby widzieć zdala
 Ów zaklęty gmach z kryształu,
 Warto, płacąc krwią i bólem
 Wejść w krainę ideału.

„Gdyby przyszło mi na nowo
 Od początku zacząć życie,
 Biegłbym jeszcze po raz drugi,
 Za tą piękną na błękicie!“

Z egipskiego rytuału zmarłych.



Zyrys szalę prawdy ujął w dłonie,
I jedno oko zatopił jastrzębie
W cichęj wieczności tajemnicze głębie,
A drugie zwrócił ku doczesnej stronie,
Zkąd przylatują do niego po zgonie
Stadami ludzkie dusze, jak gołębie.

Z pomiędzy dobrych, co ciemne podwoje
Przebyli — jedni w zasług świetnej szacie
Idą odziani w purpurę lub zbroję;
Chwałą jaśnieją dumne ich postacie,
A o spełnionych czynów majestacie
Świadczą obszerne papyrusów zwoje.

W nich, hieroglifów głoski tajemnicze
O każdym wielkim wspominają czynie,
I wyliczają: wzniesione świątynie,
Prace pokoju, dzieła wojownicze,
Nadane prawa, duchowe zdobycze,
Wielkie przewroty, których pamięć słynie.

Skromnie dusz drugich zbliża się gromada,
 Nie niosąc z sobą bogatego żniwa —
 Każda do innych przytulić się rada,
 Każda pokornie w cieniu się ukrywa,
 I przed sędziego podchodząc trwożliwa,
 W tych krótkich słowach z życia się spowiada:

„Proch prochów tylko wśród świata ogromu!
 Nie uzbierałem zasług w moim żywocie;
 Przychodzę teraz w trwodze i tęsknocie
 Po zmiłowanie do wieczności domu,
 Bom nie wycisnął żadnej łyzy nikomu,
 Ale ją nieraz otarłem sierocie.“

Ozyrys sędzieja treść żywotów waży
 Na szali prawdy, podejmując z ziemi
 Wszystkie uczynki głośne wraz z cichemi,
 Łaskawy uśmiech osiadł mu na twarzy,
 Jednych i drugich wedle zasług darzy,
 I taki wyrok wydaje nad niemi:

„Wy! którzy dzieła spełniacie olbrzymie,
 Na nowe tory pchając ludów życie!
 Wy, co zwycięzko po ziemi kroczycie
 We krwi i trudzie, w jasności i dymie,
 Czynami swoje zapisując imię
 Na korze ziemi, na niebios błękicie, —

„Waszą jest głośna nieśmiertelność chwały!
 Waszym blask wieczny, który was wydzieli
 Z powszechnej istot ginących topieli,
 I da wam żywot odrębny i trwały
 Pośród pokoleń, co was będą znały
 Jako swych wodzów i nauczycieli.

„Ale nie dla was słodki cień mogiły,
 Nie dla was zmarłych wypoczynek święty --
 Wciąż nowe rzesze będą was sądziły
 I naruszały grobowiec zamknięty,
 Będą przetrząsać wszystkie życia męty,
 Aż przeklną jutro — to, co wczoraj czeiły.

„I wyjdą na świat wszystkie tajne nędze,
 Które wy ukryć pragniecie głęboko...
 Zdejmą z was wierzchnią złotogłowu przedzę,
 I na jaw wszystkie słabości wywloką,
 A pożądlive potomności oko
 Będzie się waszój urągać potędze.

„Wy zaś o cienie! ciche, bezimienne,
 Które jak kwiaty ukryte w ustroni
 Ledwie ślad swojej zostawiacie woni,
 Wy duchy czystem uczuciem promienne,
 Które swych bliźnich niedole codzienne
 Dotknięciem miękkiej łagodzicie dłoni,

„Wy domowego kapłani ogniska,
Coście przez ziemię lekką przeszli nogą,
I nie zranili w pochodzie nikogo,
Wolni od sławy, która przez zwałiska
Idąc przebojem, nieraz łązy wyciska
I burzy szczęścia lepiankę ubogą,

„Wy się nie skarżcie na pośmiertne wiano!
Bo waszą będzie nieśmiertelność cicha —
Wam będzie słodycz wypoczynku dana...
I pić będziecie z wieczności kielicha
Niepamięć, której pozazdrości pycha,
Widząc, jak dumny proch sponiewierano.

„Wy utoniecie w wielkim oceanie,
Zkąd wschodzi, dokąd znów powracać spieszy
Wszelkie dusz ludzkich anielskie świtanie,
I roztopieni w bezimiennej rzeszy
Będziecie światłem, które ludzkość cieszy
Bez względu na to — gdzie i jak powstanie.

LYKOFRON DO FATUM.

Przyjacielowi w braterskim upominku.

Duż dogorywał świat grecki — minęły wieki
Potężnych natchnień młodzieńczych i wyschły
[źródła twórczości;

Wśród sporów biegłych sofistów

Konało piękno;

Umilkły lutnie poetów. Jeden z ostatnich,
Żyjący wówczas Lykofron, co skrycie czcil jeszcze
Na progu opustoszałej [Muzy,
Świątyni bogów,

Na marmurowej tablicy, ten napis wyrył:

„O Fatum! pożerające ludzi i bogów,
Grzebiące w ciemnej otchłani długie pokoleń szeregi,
Głuche na wszelkie wołania,
I bez litości!

Czy cię czeić? czy też przeklinać? — nie wiemy;
Nie wiemy: jakim sposobem dźierzysz swą władzę nad
[nami,

Niewiedząc, czyli dłoń twoja
Świat wydobyła

Z bezwładnej chaosu nocy, co bez początku...

„Pierwotnie przed twoim tronem stał ród kwitnący
 Promiennych blaskami niebian, którzy z twojego ra-
 W przystępnej ludziom postaci, [mienia,
 Rząd sprawowali;
 Wypełniał światów przestrzenie orszak tęczy,
 I igrał w powietrznej fali ogniami nieśmiertelności,
 I złotą jutrznią Olympu
 Oczom śmiertelnych
 Przesłaniał oblicze twoje nieubłagane.

„Ułomne były to bogi! żądz ludzkich pełne,
 Dyszące gniewem, zawiścią, rozkoszujące się jękiem
 Skazanych na wieczność całą
 W czarnym Hadesie;
 Ułomne były to bogi! chciwe swęj chwały,
 Cień tylko władzy znikomy posiadające w swęj dłoni,
 I nic nie zdolne odmienić
 W przeznaczeń biegu,
 Wytkniętym po za ich wiedzą przez kolej wieków:

„A przecież te ich postacie świeciły ziemi
 Blaskiem wieczystęj młodości i nieśmiertelnych roz-
 I żyły w całej swej krasie [koszy,
 W sercu człowieka;
 Dobrze spoczywać mu było w cieniu ich łaski,
 Zwracać się do nich z modlitwą w pragnieniach niena-
 I żądać losów odmiany [syconych,
 W każdym nieszczęściu,
 I wierzyć, że mu pomogą -- gdy ich przebłaga.

„Ale ty, w cieniu schowana, surowa władzo,
 Przygotowałaś w milczeniu koniec boskiego ich bytu,
 Z spokojem patrząc się na to,
 Jak giną wleczni;
 Patrzałaś jak się spychają z niebieskich wyżyn...
 Jak odsłaniają śmiertelnym całą swą słabość i nędzę...
 Jak zamierają powoli
 W piersiach ludzkości...
 Aż pogrzebałaś ich wszystkich w bezdenną próżnię.

„Tak padły całe ich rody! Różowy Olymp
 Girlandą gwiazd spadających w przestrzeń rozsypał
 Nawet ogniste Hadesu [się ciemną...
 Zagasły tonie.
 Nastąpiła pęsepną cisza — świat opustoszał;
 Wszystko i wszystkich zrównało powszechne prawo
 A człowiek samnasam z tobą [zagłady;
 O ślepe Fatum!
 Pozostał, mając pod nogą otchłań nicości —

„Sam, wobec twojej wszechmocy, pełnej tajemnic,
 Pozostał jako niewolnik niezrozumiałej tyranii,
 Wpatrzony w wieczną zagadkę
 Swego istnienia,
 Na gruzach wszystkich swych marzeń pozaświatowych
 Zobaczył tylko w błękitach cień twój bezkształtny, ol-
 Który nikogo nie karze, [brzymi,
 Ani nagradza,
 Lecz wszystkim wyznacza miarę koniecznej męki.

„Jednak tve rządy ponure nie są wieczyste,
Bo twój niewolnik powstanie w przyszłości przeciwko
 Kłamliwa maro nicestwa, [tobie,
 O ślepe Fatum!
I strąci gwałtem ze szczytu nieskończoności
Twą maskę nieubłaganą — a ta spadając z błękitów
 Odsłoni jasnego Boga,
 Który z miłością
Wciąż wyżej po szczeblach przemian prowadzi światy.“

BÓSTWO TAJEMNICZE.

Jaroslavovi Vrchlickiemu

na pamiątkę

AUTOR.

Na chmurnym szczycie góry
Kamienne jest oblicze;
Świątyni kryją mury
To bóstwo tajemnicze.

Składają mu ofiary
Zastępy wiernych sług —
Przez dym kadzideł szary
Poczerniał stary bóg.

Twarz jego skryta w cieniu,
Przyćmiona wieków pleśnią —
I stoi tak w milczeniu,
Wielbiony ludu pieśnią...

Aż nagle... tłum zdziczały
Pożogę wpada nieść,
Chce burzyć ołtarz chwały,
Niweczyć dawną cześć.

Są już w świątyni progu
 I łamią wszelki opór,
 Grożą staremu bogu,
 Wstrząsając młot i topór.

Kapłani wznoszą dłonie —
 W ich sercach ból i gniew...
 W świętości swych obronie
 Gotowi przelać krew;

I modły ślą: „O Panie,
 Swej mocy pokaż cud,
 Błuźnierców strąć w otchłanie,
 Niewierny ukarż lud!“

I biorą oręż w ręce...
 Wtém bóstwo na głos rzecze:
 „Ja dziś mój tryumf święcę,
 Więc wy schowajcie miecze!

„Nie trzeba mi obrony,
 Ani cudownych sił:
 Niech burzy tłum szalony
 Tę postać, którą czcil.

„Ja pomsty nad winnemi
 Nie daję w dłoń nikomu,
 Nie chcę pomocy ziemi,
 I nie chcę niebios gromu.

„Niech wznoszą swoje młoty,
Rzeźbiony krusząc kształt,
Gdyż boskiej méj istoty
Nie zniszczy żaden gwałt.

„W minionych wieków ciągu
Nieraz już ludu złość
Mściła się na posągu...
Cierpiałem gwałtów dość;

„I nieraz dzikie zgraje
Wydały mnie požodze —
A zawsze większy wstaje,
Piękniejszy z ruin wschodzę.

„Mnie topór nie powali,
Chociaż rozbija głaz,
Lecz kształt mój doskonali
Každy zadany raz.

„Zniszczenie mnie odmładza
I ogień mnie oczyszcza;
Padając, moja władza
Wyrasta silniej z zgliszcza...

„I zgina znów kolana
Przedemną cały lud...
A ciągle ta przemiana —
To mój największy cud.“

ALBUM PIEŚNI.

Pani Maryi z Branickich Tarnowskiej

w zamian za gałązkę z Kowieńskiej Doliny

poświęca

AUTOR

Preludjum.

Już nie jeden obraz miły
Ciemne widma zasłoniły,
I nie jeden ślad zatarły,
Ślad przeszłości obumarłej.

Łzy, uśmiechy, kwiatów wieńce,
Pragnień ognie i rumieńce,
Sny miłości, szczęścia, chwały,
Już się w drodze rozsypały...
Pozostały za mną w tyle
Na rozdrożach — lub mogile.

Lecz choć wszystko pierzchło, znikło,
Serce kochać nie odwykło,
I młodzieńczych natchnień chwila
Jeszcze duszę wciąż zasila;
Jeszcze czystém światłem błyska
Przez mgły ciemne i zwaliska,
I w ten życia wieczór szary
Rzuca wspomnień cudne mary.

Wciąż młodości wiara żywa
Pozrywanych snów ogniwa
W idealny wieniec splata,
I wskazuje piękność świata.

Więc znów oczy mam zwrócone
Na jaśniejszą życia stronę,
Znów odczuwam — to co piękne,
Znów przed śpiewnym głosem miękne,
I swych wspomnień mary blade
Znów z miłością na pierś kładę,
A gdy serce drży boleśniej
To przerabiam łzy na pieśni.

Najpiękniejsze piosnki.

Najpiękniejszych moich piosnek
Nauczyła mnie dziewczeczka,
Mistrzem bowiem były dla mnie
Harmonijne jój usteczka.

Te usteczka brzmiały zawsze
Jakąś piosnką świeżą, nową,
Każdy uśmiech był melodją,
Śpiewem było każde słowo.

Wszystko, o czém serce śniło,
Wszystko, o czem nawet nie śni
Odbijało się w jój oczach
I płynęło w słodkiej pieśni.

Więc mnie zawsze przy jój boku,
Wpatzonego w jój oblicze
Kołysały śpiewne mary
Czarodziejskich brzmień słodycze.

Czegom uchem nie dosłyszał,
Czegom wzrokiem nie doczytał,
Tom z usteczek koralowych
Sam ustami swemi chwycił.

W zimowej nocy.

Idzie z piosenką na ustach
Przez śniegu zaspy zimowe,
I nie wie, gdzie mu wypadnie
Na nocleg położyć głowę.

Choć noc już ziemię pokrywa,
A wszędzie pustka wokoło —
On w swój samotnej wędrówce
Bez trwogi idzie wesoło.

Patrzy na pola zmrożone,
Na cieniem pokryte drzewa,
I nie przerywa piosneczek,
Lecz dalej tak sobie śpiewa:

„Tyś mi nie straszna, o nocy!
Chociażes mroki rozsiała
Tak gęste, jakbyś na zawsze
Nad światem panować miała.

„Bo wiem, że musisz nie długo
Przed słońcem uciec w otchłanie —
A dla tych co się obudzą,
Zabłyśnie nowe świtanie.

„Ty mi nie zmroisz o zimo!
Serdecznych moich nadziei —
Choć ziemię pokrywasz martwą
Całunem śnieżnej zawiei.

„Pomimo groźnej twój władzy,
Nie mogę zwątpić, że z wiosną,
Jeżeli nie mnie, to innym
Znów świeże kwiaty wyrosną.

„Ty mnie nie zwiedzisz tak łatwo
Pozornym chłodem, o miła!
Choć mnie odpychasz za życia...
Choćbyś mnie wzgardą zabiła.

„Bo wiem, że prędej, czy później,
Chwile niechęci przeminą —
Po śmierci kochać mnie będziesz,
Moja ty piękna dziewczyno!

„Wy także ludzie przedemną
Próżno uczucia kryjecie...
Nie dam się złudzić pozorom,
Że serc zabrakło na świecie.

„Jak tylko tchnienia cieplejsze
Czar dawnych uniesień wskrzeszą,
Po śmierci kochać mnie będziesz,
Ty chłodna, milcząca rzeszo!”

Rozłączenie.

Ujrzał ją znowu po latach
Z krzyżykiem w ręce...
Jak spała cicho na kwiatach
Po życia skończonęj męce;
Ujrzał — gdy każde swe słowo,
Każde spojrzenie łaskawsze,
Uniosła w ciemność grobową
Na zawsze.

Jak obcy przyszedł tu do niej
W dzikięj rozpaczy,
Wiedząc że główki nie skłoni,
Nie wstanie i nie przebaczy;
Więc boleść piersi mu targa,
I stoi blady jak chusta,
I straszna tłoczy się skarga
Przez jego usta;

I mówi: „Już leżysz w trumnie,
 Nic cię nie wzruszy —
 Nie spojrzysz litośnie ku mnie
 Nie zdejmiesz ciężaru z duszy.
 Nikt losów moich nie zmieni,
 I klątwy nikt nie odwoła,
 Nie sięgnie w morze płomieni
 Ręka anioła.

„Nie dojdzie do twego ucha
 Moje wołanie —
 Przestrzeń przegradza nas głucha,
 Wieczyste ciężkie rozstanie.
 Na zawsze pomiędzy nami
 Ciemna się przepaść rozwarła...
 Mnie czoło występek plami,
 A tyś umarła!

„Dla innych nadzieją błyska
 Grobowca łono,
 Bo wiedzą, że duch odzyska
 Miłość na ziemi straconą;
 Dla innych rozstania chwile
 Szybko uniesie czas rączy,
 I znów kochanków w mogile
 Wieczność połączy.

„Lecz mnie zgon również jak życie
Od ciebie dzieli —
Obcą mi będziesz w błękicie
Jak tu na zmarłych pościeli.
Przedział otworzy daleki
Ta śmierć co innych przybliża...
Bo nas rozdziela na wieki
Znak krzyża!“

Łabędzi śpiew.

Labędzi słyshałem śpiew:
Było to letnim wieczorem —
Przy bladym świetle miesiąca,
W pośrodku płaczących drzew,
Ponad przejrzystym jeziorem,
Stała wybladła i drżąca,
Łabędzi zawodząc śpiew.

Na cichój powierzchni fal
Łabędzie pieśni słuhały,
Myśląc, że jeden z ich grona
Przedśmiertny wylewa żal —
Gdyż ona, jak łabędź biały,
Co z pieśnią zraniony kona,
Śpiewała wśród cichych fal.

Dziś dla niej ostatni dzień,
W którym do śnieżnych słuchaczy

Swobodnie przemawiać może, *
 Wśród serca gwałtownych drzeń,
 I głosem śpiewnej rozpaczy
 Płynąć po modrem jeziorze,
 Żegnając ostatni dzień.

Gdyż jutro wykopią grób
 Dziewiczej życia piosence,
 Pogrzebią sen ideału —
 Jutro nastąpi jej ślub,
 I zwiążą na zawsze ręce,
 Bez serc żywszego udziału
 W małżeński położą grób.

Niemily weźmie ją mąż —
 Tak każą względy rodowe,
 I domu wysokie związki;
 Te słowa słyszała wciąż...
 Więc poddać musiała głowę
 Pod cierń mirtowej gałązki,
 Pod łańcuch co włoży mąż.

I musi, rzucając dom,
 Pójść za nim jak niewolnica,
 Po stracie wszystkich swych marzeń,
 Ku ciemnym, nieznanym dniom,
 Przywołać uśmiech na lica,
 Gdy sama, pełna przerażeń
 Porzuca rodzinny dom.

I nie wie, jaki jój byt
Zgotuje ręka człowieka,
Którą ma ująć ze łzami;
Czy boleść, rozpacz, lub wstyd,
W ciemnej przyszłości ją czeka?
Czy białych skrzydeł nie splami
Ten nowy posepny byt?

I nie wie, na jaki ląd
Obca ją wola popędzi...
Wie tylko, że bez miłości,
Bez pociech odejdzie ztąd,
I już wśród białych łabędzi
Nie stanie w dawniej czystości,
Na obcy stąpiwszy ląd.

Więc bólem dobyty śpiew
Rzuca, w łabędzia postawie,
Tój rzeszy słuchaczy bratniej
Z pod wieńca płaczących drzew:
Ptaki słuchają ciekawie,
Bo wiedzą, że to ostatni,
Prawdziwy łabędzi śpiew!

Ucisz się serce!

Ucisz się serce! — swoich strat —
Już nie oplakuj, stroskane;
Ale wschodzący pozdrów świat,
I jego jutrznie różane.

Błogosław nowym życia dniom,
Temu, co wschodzi i rośnie,
Świeżym nadziejom, świeżym snom,
Świeżej młodości i wiosnie.

Pozdrów pokoleń przyszły ród,
Ich myśli, pragnienia, cele,
Kwiat nowych uczuć, nowych cnót,
Na naszym wzrosły popiele.

Pozdrów kłosa złoty nowych pól,
Nowych kochanków zachwyty,
Nowe tęsknoty, nowy ból,
I wiecznie nowe błękity.

Pozdrów tych wszystkich wiernych sług,
Co twardą pracą i znojem,
Płacą ludzkości święty dług,
O szczęściu nie myśląc swoim.

I tych, co będą światło nieść
Do chat — gdzie ciemni i głodni,
Co będą walczyć — aby zgnieść
Widziadło nędzy i zbrodni.

Witaj ich wszystkich w blasku zórz,
Który zaledwo widnieje,
W ich ręce swoją wiarę złóż,
Swą miłość i swą nadzieję.

Szczęście, za którym dzisiaj ty
Naprawdę tęsknisz i czekasz,
I nieziszczone wszystkie sny,
Wszystkie pragnienia — im przekaż!

Wzleć ponad własnej drogi kres,
Z błogosławieństwem dla świata,
Co w pasmo błędów, walk i łez,
Szlachetne dążenia wplata.

A snuć się będzie złota nić,
Chociaż ty spoczniesz w mogile...
I będziesz nowem życiem żyć,
W młodzieńczej barwie i sile.

Wszędzie coś z swoich znajdziesz snów,
Z uczuć straconych i rojeń,
I z kochankami będziesz znów
Pić słodycz świeżych upojeń;

Będziesz — gdzie ludzkiej myśli-źród
W niepowstrzymanym rwie biegu...
Gdzie się rozstrzyga duchów bój,
W walczących staniesz szeregu;

Gdzie płynie skargi rzewny głos,
Tam będziesz — i będziesz z temi,
Co chcą polepszyć ludzki los,
I przynieść szczęście téj ziemi.

I do wieśniaczych zstąpisz chat
Uczucia budzić nieznane...
Więc nie oplakuj swoich strat,
Pociesz się serce stroskane!

Dla czego wicher tak wyje?

Dlaczego wicher tak wyje
I z jękiem leci ku niebu?
Czy skargi roznosi czyje?...
Czy pieśń zawodzi pogrzebu?

Różne są nędze na ziemi:
Są jedne, co litość budzą
I ma kto płakać nad niemi
I boleść utulić cudzą.

Są inne jakby przeklęte
Od świata, ludzi i Boga...
Gdzie serca rozpaczą wzdęte
Otacza pustka złowroga.

Nikt się nad niemi nie żali...
Obca im wszelka pociecha...
I przepadają gdzieś w dali
Samotnie, bez łyzy, bez echa.

Tylko wiatr niesie ku niebu
Brzemienne klątwą rozpaczę,
I wyje pieśni pogrzebu...
W ciemnościach jęczy i płacze.

Mgławice.

Rozsiane w światów przestrzeni,
Kosmiczne spływają mgły,
W smugi przejrzystych pierścieni,
W obłoczek wiążą się mdły.

Pośród gwiazdzistych łabędzi,
Gwiazdzistych węzów i lir,
Moc wieczna w przyszłość je pędzi,
W powszechny wprowadza wir.

Świetlanym zwojem się wznosi
Tych nikłych cząsteczek rój...
Szukają wspólnej swój osi,
By obrót rozpocząć swój.

I tak się męczą i chwieją
I lotny skupiają pył,
By zbić się z czasów koleją,
W szeregi ognistych brył.

Przez długie męczą się wieki,
 Chcąc zdobyć wewnętrzny ład —
 Dzień jeszcze bardzo daleki,
 Gdy nowy z nich wyjdzie świat.

Lecz będą kolebką jasną
 Nowych żywotów i sił,
 Gdy nasze słońca pogasną,
 W kosmiczny zetrą się pył.

* * *

W ludzkiego ducha przestworzach,
 Podobnie wiąże się mgła,
 Rzucona w odległych zorzach,
 Na niebios błękitne tła.

Mgły marzeń płyną po niebie,
 Do nikłych podobne smug,
 Szukają kształtów dla siebie,
 Szukają dla siebie dróg.

Chcą tkanek swoją pajęczą,
 W ciał szereg promienny zbić...
 Chwieją się, ważą i męczą,
 By mogły w przyszłości żyć.

Przez wieki cienie tych mgławic,
 Skupiają cząsteczki swe,
 I czasem światłem błyskawic,
 Zgęszczoną oświecą mgłę.

Przez wieki krążą tak marnie,
Czekając za przyszły świt,
Który za wszystkie męczarnie,
Słoneczny nada im byt.

I przyjdzie czas ten, gdy one,
Po długim upływie lat,
Zastąpią dawne zburzone,
I nowy utworzą świat.

Daremne żale.

Daremne żale — próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

Świat wam nie odda idąc wstecz
Zniknionych mar szeregu —
Nie zdoła ogień ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z żywemi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe...
A nie w uwiedłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.

Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą —
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

Zaczarowana Królewna.

Zaczarowana królewna
W mirtowym lasku drzemie;
U nóg jej lutnia śpiewna
Zsunęła się na ziemię;

Niedokończona piosneczka,
Uśmiechem lśni na twarzy;
Drżą jeszcze jej usteczka —
O czemś rozkosznem marzy.

Marzy o jednym z rycerzy,
Że idąc przez odmęty,
Do stóp jej tu przybieży,
I przerwie sen zaklęty.

Lecz rycerz, co walczył dla niej,
Ten męstwo swe przeceniał —
Zabłąkał się w otchłani...
I zwątpił... i skamieniał.

Za moich młodych lat.

Za moich młodych lat,
Piękniejszym bywał świat,
Jaśniejszym wiosny dzień!
Dziś nie ma takiej wiosny,
Posepny i żalosny,
Pokrywa ziemię cień.

Za moich młodych lat,
Wonny miłości kwiat,
Perłowym blaskiem lśnił —
Dziś blaski te i wonie,
Naprawdę sercem gonię...
Czarny je obłok skrył.

Ból zasnął.

Ból zasnął we mnie już zcicha,
Jak dziecię krzykiem zmęczone;
Łzy na dno duszy kielicha
Spływają niepostrzeżone.

Wszystkie żywota gorycze
Zamknąłem w sercu, jak w grobie:
Niech drzemią w niem tajemnicze,
Niemówiąc światu o sobie.

Lecz jeszcze męczarnia cudza
Łzę wydobywa z pod powiek,
Do gorzkiej myśli pobudza
Przybity rozpaczą człowiek.

Jęk, który w ciemnościach słyszę,
Paląca nędzarzów skarga,
Jeszcze przerywa mi ciszę
I żalem pierś moją targa.

A nie tych żal mi najbardziej,
Co cierpią niezasłużenie:
Ci, jako rycerze twardzi,
Znieść mogą każde cierpienie;

Ci, chociaż los ich przygniata,
Chociaż nieszczęścia dłoń kruszy,
Mają współczucie od świata.
I spokój własnej swój duszy.

Lecz żal mi tych, którym cięży
Poczucie spełnionej winy,
Co w sercu noszą kłęb węży
I cierpią z własnej przyczyny.

Takięj boleści posępnej
Najsilnięj wstrząsa mną echo...
Gdyż w mrok ich duszy występnej
Nie można zstąpić z pociechą.

Jestże to prawdą?

Jestże to prawdą? że nad mą kołyską
Dzieckiem niebiańskie widziałem zjawisko,
Anioła, który schylony nademną
Zwolna mi z duszy noc odganiał ciemną,
I rozpostarłszy blasków swych koronę
Miłością poił serce przebudzone,
A chociaż skrzydła otwierał do lotu,
Słodką nadzieją żegnał mnie powrotu.

Jestże to prawdą? że zniknął przedwcześnie
Zaledwie sercem przeczuwany we śnie,
I że już odtąd napróżno na ziemi
Za jego ślady goniłem jasnemi;
Aż zbłąkanemu nad ciemne otchłanie
Coraz mniej dawne jaśniało świtanie,
I w duszy cudne zatarły się lica,
I ta powrotu słodka obietnica.

Jestże to prawdą? że mi teraz znowu
Wolno zawierzyć anielskiemu słowu,
I śnić, że dusza stęskniona przywoła
Wracającego z błękitów anioła...

Jestże to prawdą? że mi teraz dano
Powitać widzeń jutrzeńkę różaną,
I pod jej skrzydeł opiekuńczych dwoje,
Znowu w opiekę oddać serce swoje.

Barkarola.

Noc taka jasna!
Gwiazdami płonie —
Światłem okala
Przejrzyste tonie.

Noc taka jasna!
Jasna i cicha —
Zaledwie fala
Szemrze i wzdycha.

Łódka jak ptaszę
Po wodzie z lekka
Wzlatuje z nami,
I w dal ucieka...

A serca nasze
Pełne zachwytów,
Wybiegły łzami
W morze błękitów.

W światel powodzi
W niebo się wznoszą,
Miłością drżące,
Senne rozkoszą.

Płyń więc o łodzi,
Choćby na wieki,
Przez wody śpiące,
W obszar daleki...

Aż gdzieś w przestrzeni
Zginiem w oddali,
W półcieniach jasnych
Na srebrnej fali.

A roztopieni
W cichym błękiecie,
Tylko serc własnych,
Usłyszmy bicie.

Na początku.

Na początku nic nie było...
Tylko przestrzeń ciemna, pusta—
W tem jój czarne błysły oczy
I różowe świeże usta.


Od jej spojrzeń, od rumieńca,
Zajaśniała światel zorza,
A gdy pierwsze rzekła słowo,
Ziemia wyszła z głębi morza.

Gdy przebiegła ziemię wzrokiem
Śląc jej uśmiech — rój skrzydlaty
Wzleciał ptaków i motyli,
A z pod ziemi wyszły kwiaty.

Lecz nie istniał jeszcze człowiek,
Tylko martwa gliny bryła —
Aż nareszcie swym płomiennym
Pocałunkiem — mnie stworzyła.

I zbudziłem się do życia
W cudowności jasnym kraju...
Lecz mnie również tak jak innych
Wypędzono z tego raju.

Szczęśliwa młodość.

zczęśliwa młodość!.. nawet smutki
Zaprawne ma rozkoszą;
Dzień szczęścia długi,.. żalu — krótki;
Lzy ulgę jej przynoszą.

Szczęśliwa młodość!... swe boleści
W słowiczym odda śpiewie,
I echem własnych skarg się pieści,
I o swem szczęściu nie wie!

Miłość jak słońce.


Miłość jak słońce — ogrzewa świat cały
I swoim blaskiem ożywia różanym;
W głębiach przepaści, w rozpadlinach skały
Dozwala kwiatkom zakwitnąć wiosnianym
I wyprowadza z martwych głązów łona,
Coraz to nowe na przyszłość nasiona.

Miłość jak słońce — barwy uroczeni
Wszystko dokoła cudownie powleka;
Żywe piękności wydobywa z ziemi,
Z serca natury i z serca człowieka,
I szary, mglisty widnokrąg istnienia
W przędzę z purpury i złota zamienia.

Miłość jak słońce — wywołuje burze,
Które grom niosą w ciemnościach spowity,
I tęczę pieśni wiesza na łez chmurze,
Gdy rozplakana wzlatuje w błękity,
I znów z obłoków wyziera pogodnie,
Gdy burza we łzach zgasi swe pochodnie.

Miłość jak słońce — choć zajdzie w pomroce,
Jeszcze z blaskami srebrnego miesiąca,
Powraca smutne rozpromieniać noce
I przez ciemności przedziera się drżąca,
Pełna tęsknoty cichój i żałoby,
By wieńczyć śpiące ruiny i groby.

W wieczny cień.

padła śmierci już zasłona
Na żywota grzeszny dzień —
Idzie dusza potępiona,
W wieczny cień.

Idzie w ciemność tak leniwo,
Na rzucony patrząc świat,
Gdzie występków smutne żniwo
I zbrodniczy został ślad.

Widzi każdą myśl swą czarną,
Jak jej zniszczyć niemógł zgon,
I szkodliwe widzi ziarno
Jak obfity daje plon.

Złe na gorsze się przemienia,
Błędy ojca bierze syn...
I z pokoleń w pokolenia
Spada ciężar dawnych win.

Więc przekłete widząc koła
I występku tajną moc:
O ztratę własną woła,
O nicestwa głuchą noc.

I przez ognia idąc rzeki
Straszną rozpacz niesie w dal —
Chce się ukryć gdzieś na wieki
W płomienistych głębi fal.

Chce, by płomień wyżarł z łona
Nieśmiertelny bytu rdzeń...
Idzie dusza potępiona
W wieczny cień!

Nieśmiertelni.

Przez mgły czasu, w otchłań wieków
Zaglądając — widać w dali
Pośród mętnych plemion ścieków,
Wśród burzliwej ludów fali,
Nieśmiertelnych, co przetrwali
Długą kolej pierzchłych wieków.

W próchnie ziemi, w dziejów pyle,
Rozjaśnione twarze świecą;
Ku nieznaney ich mogile
Duchy nowych mężów lecą,
By wyprosić światła nieco
Na jutrzejszą świtań chwilę.

Na świeczniku z trupich kości,
Niegryzieni pleśnią rdzawą,
Stoją żywcem wśród ciemności
Nad przebrzmiałą życia wrzawą,
I płomieniem swym jaskrawo
Oświecają twarz ludzkości.

Każdy w swego wieku łonie
Całą jego myśl zawiera —
Ster przyszłości biorąc w dłonie
Nową jutrznię rozpościera,
A zaczęta przezeń era
Nieśmiertelne wieńczy skronie.

Panieneczka...

Panieneczka, panieneczka,
Czesze złoty włos,
Śpiewną piosnką brzmią usteczka,
Nuci sobie w głos:

Białe lilje cicho drzemią
Otulone w cień,
Kołysane po nad ziemią
Falą chłodnych tchnień.

Noc zamyka im kielichy,
Strzegąc czystych szat,
W niewinności pozór cichy
Stroi biały kwiat;

I powiada: Spijcie w cieniu!
Spijcie póki czas —
Gdy zaświta — w swym płomieniu
Słońce spali was.

Nie wzdychajcie ach przedwcześnie
Do skwarne go dnia —
Wymarzone szczęście we śnie
Krótko potem trwa.

Ale lilje choć stulone
Nocny piją chłód,
Już w słoneczną patrzą stronę
Na różowy wschód.

Oczekują tęsknie chwili,
Gdy z pieszczotą już
Biały kielich im odchyli
Blask promiennych zórz.

I daremnie noc na straży
Swych udziela rad —
O miłości dziewczę marzy,
A o słońcu kwiat.

Gdy ostatnia róża zwiędła.

Gdy ostatnia róża zwiędła,
Rzekłam chłopcu: „Idź“,
Zerwała się złota nić,
Którą miłość przędła.

Poskoczyłam jak najprędzej
Świeży wątek wziąć,
Chciałam złotą nitkę prząść...
Lecz zabrakło przędzy.

Zakwitnęły róże znowu,
Nić się nie chce snuć...
Próżno wołam: „Luby wróć!“
On nie wierzy słowu.

Kopciuszek.



gniewie zakłęła ją wróżka:
I odtąd biedna królewna
Przybrała smutną postać kopciuszka,
W lichej odzieży
Na rozkaz bieży,
I nosi wodę i drewna.

Napróżno w jej czystem łonie
Skarbów zawiera się mnóstwo,
I w niewidzialnej próżno koronie
Jej piękność świeci,
Gdyż ziemskie dzieci
Dojrzały tylko ubóstwo.

Nieraz w jej państwie zakłętym
Rycerski stanął królewic —
Lecz na jej odzież spojrział ze wstrętem,
I poszedł dalej,
I z złotej sali
Wziął jedną z poślednich dziewic.

Astry.

Znowu więdną wszystkie ziola,
Tylko srebrne astry kwitną,
Zapatrzone w chłodnych niebios
Toń błękitną.

Jakże smutna teraz jesień,
Ach smutniejsza niż przed laty,
Choć tak samo żółkną liście,
Więdną kwiaty.

I tak samo noc miesięczna
Sieje jasność, smutek, ciszę,
I tak samo drzew wierzchołki
Wiatr kołysze.

Ale teraz braknie sercu,
Tych upojeń i uniesień,
Co swym czarem ożywiały
Smutną jesień.

Dawniej miała noc jesienna
Dźwięk rozkoszy w swoim hymnie,
Bo anielska czysta postać
 Stała przy mnie...

Przypominam jeszcze teraz
Bładej twarzy alabastry,
Krucze włosy — a we włosach
 Srebrne astry...

Widzę jeszcze ciemne oczy...
I pieśczętę w ich spojrzeniu —
Widzę wszystko w księżycowym
 Oświetleniu...

Tym którzy smutni.



Tym, którzy smutni, tym, którzy zgnębieni
W milczeniu tylko i cierpią i giną,
Tym dla serc trzeba jaśniejszych promieni
Nad idealną świecących krainą.

Im zimne słowa mędrców nie wystarczą,
I praw koniecznych bezwzględna powaga
Nie będzie dla nich osłoną ni tarczą,
Gdy serce gwałtem szczęścia się domaga.

Trzeba im pociech, których nie da życie,
Trzeba anielskich uśmiechów w błękicie,
Trzeba litosnej nad światem opieki,
Trzeba miłości wiecznej choć dalekiej...

Dałam ci moc.

Dałam ci moc nad sercem ludzi,
Moc, której próżno przeczą,
Gdyż ona łzy i zachwyty budzi,
Wstrząsając pierś człowieczą.

Piękności czar — ten nie przeminie,
On wieczną jest potrzebą;
I ludzki duch wciąż za nim płynie,
W błękitne patrząc niebo.

Piękności czar — ten zawsze będzie
Nad światem dzierżyć władzę,
I swoją woń rozsiewa wszędzie
Kwiat każdy, co zasadzę.

Niechaj więc chłód i cisza głucha
Wśród świata cię nie ziębi:
Najlepszy siew twojego ducha
W serc cichej wejdzie głębi.

Tych śpiewnych brzmień, co ja poruszę,
Niepamięć nie pogrzebie;
Lecz, choćbyś dał swą całą duszę,
Nie żądaj nic dla siebie.

Nie żądaj nic od biednej rzeszy,
Zmęczonej życia znojem;
Ty rzucaj blask, co ją pocieszy,
I sercem nakarm swoim.

Idź sobie w grób, nieznany światu,
Bez żądzy sławy próżnej,
Bez wieńców róż, bez mirtów kwiatu,
Bez bratnich łez jałmużny.

Ziszczenia snów, owoców trudu,
Nie pragnij tu oglądać:
Dałam ci moc nad sercem ludu, —
Nie możesz więcej żądać!

Dzieje piosenki.

Narodziła się w duszy poety
W łez mroku,
Wywołana miłością kobiety,
Jako tęcza na marzeń obłoku,
Spiewnych dźwięków odziana sukienką,
Drgnieniem serca dobyta z nicości,
Przyszła na świat naiwną piosenką
Miłości.

Upajała melodyjnym tchnieniem
Piersź młodą,
I nad starców rozwianem marzeniem,
Słodkich wspomnień jaśniała pogodą;
Wzgórza brzmiały jej rozkosznem echem,
Przedrzeźniali ją Faunowie leśni,
Płoche Nimfy wtórzyły z uśmiechem
Tej pieśni.

Przeszły wieki świeżości młodzieńczej

I krasy —

Nikt się teraz różami nie wieńczy

Wchodząc z troską codzienną w zapasy;

Nie słuchają już Nimfy na łące

I nie wtórzają piosnkom w wieczór letni;

Zagłuszyły dziś burze huczące

Głos fletni.

Jednak pieśń ta, starodawna, grecka,

Wciąż wraca!

Nieśmiertelnym swym uśmiechem dziecka

Chmurne niebo nad ziemią wyzłaca,

Wraca z każdą serc i wieków wiosną,

Pełna dziwnej, niespożytej siły

I roztacza w koło woń miłosną

Z mogiły.

Nie mów.

Nie mów! chociażbyś miał ginąć z pragnienia,
Że wszystkie źródła wyschły już bijące —
Tyś gonił pustyni piaszczystych złudzenia,
A minął strumień na zielonej łące.

Nie mów! chociażbyś umierał z tęsknoty,
Że nie ma czystej miłości na ziemi —
Tyś pewnie w drodze blask jej rzucił złoty,
Za ognikami zdążając błędniemi.

Nie mów — że wszystko, czegoś ty nie umiał
Odnaleźć w życiu — marą jest zwodniczą!
Zdrój czystych uciech będzie innym szumiął
I inne serce poił swą słodyczą.

W TATRACH.

MIECZYŚŁAWSTWU PAWLIKOWSKIM,

na pamiątkę chwil wspólnie spędzonych w Zakopanem

z wyrazem przyjaźni.

W. J. B. A. T. W.

W. J. B. A. T. W.

W. J. B. A. T. W.

WSTĘP.



matko ziemio, dobra karmicielko!
Żywisz nas hojnie przy swej piersi mlecznej,
Niebieskiej rosy ożywczą kropelką,
I promieniami jasności słonecznej,
Które przerabiasz na chleb, co się mnoży
Codziennym cudem wiecznej myśli bożej.

O matko ziemio! ty nam dając ciało,
Zbudzoną duszę karmisz na swem łonie —
Dajesz jej poznać świata piękność całą,
Oprowadzając przez błękitne tonie,
I po gwiazdzistym unosisz przestworze
Codzień poranku odnawiając zorze...

Roztaczasz przed nią kształtów nieskończoność,
I coraz nowe przesuwasz obrazy,
Stroisz się w błękit morza, w łąk zieloność,
W błyszczące piaski, w niebotyczne głązy,
Rozwijasz widzeń tęczę malowniczą
I świeżych wrażeń napawasz słodyczą.

Ty ją przenikasz barw i dźwięków falą,
 Przez zmysły drogę otwierając do niej,
 Rzucasz w nią ognie, co się wiecznie palą
 W obłoku marzeń i kwiecistej woni,
 Podajesz przędzę, którą ona bierze
 Snując z niej dalej pasma uczuć świeże.

Ty jej swe wszystkie skarby zgromadzone
 Rzucasz na pastwę z rozrzutnością matki,
 Pozwalasz zdzierać z twarzy swej zasłonę,
 I coraz nowe zadajesz zagadki,
 Kryjąc w swej dłoni jako Izys czarna
 Kwiaty lotusów i pszeniczne ziarna.

Dobra piastunko! trzymasz nas tak mocno
 Na swojej piersi co się ciągle chwieje —
 Sny cudowności zsyłasz porą nocną,
 A we dnie własne opowiadasz dzieje...
 Nawet prostaczkom dając mądrość wielką,
 Dobra piastunko i nauczycielko!

My się nie możemy oderwać od ciebie,
 Ciężarem ciała z ciałem twem spojeni,
 I chociaż myślą wlatujem po niebie
 Sny zaświatowe ścigając w przestrzeni,
 Musimy zawsze czuć pod nogą swoją
 Ten grunt, na którym kształty nasze stoją.

Musimy z tobą w zgodzie żyć — inaczej
 Duch się obłąka w mgle urojeń ciemnej,
 W złudnych zachwytach, w bezpłodnej rozpaczce,
 W sennem omdleniu, lub walce daremnej,
 I po za światem pędzi żywot chory
 Nie mając twardej dla siebie podpory.

Musim żyć z tobą w zgodzie — do mogiły,
 Chociaż cel wyższy stawiamy przed oczy —
 Pragnąc zaczerpnąć świeży zasób siły
 Każdy z nas musi w walce którą toczy,
 Tak jak Anteusz dotykać się ziemi...
 Bośmy o matko wszyscy dziećmi twemi.

Na twoich błoniach wschodzimy jak kwiaty,
 A ty stosowne nam wyznaczasz grządki,
 Każdy dla siebie znajdzie grunt bogaty,
 Swych poprzedników prochy i pamiątki,
 I każdy tylko na swej własnej niwie
 Może zakwitać silnie i szczęśliwie.

Tam tylko znajdzie odpowiednie soki,
 Właściwy zakres i warunki bytu,
 Skwarny blask słońca, albo cień głęboki,
 Modrą toń jezior, lub krawędź granitu,
 Tam kształt i barwę właściwą przybiera,
 Na czas dojrzewa — i na czas zamiera.

Zna się z burzami swej ojczystej strony,
 I z tchnieniem wiosny, która go upieści...
 I od początku idzie uzbrojony
 Na rozkasz życia i jego boleści.
 Więc nic dziwnego, że nad wszystkie inne
 Musi ukochać zagony rodzinne.

To przywiązanie, które ludzie prości
 Czerpią z cichego z naturą przymierza,
 Stwarza ojczyznę, jako cel miłości,
 I coraz więcej zakres swój rozszerza,
 Aż cały krąg twój obejmie o ziemię!
 Razem z zmarłemi co w grobowcach drzemią.

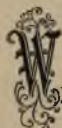
A kto ukochał ciebie sercem swoim,
 I w twe objęcia chyli się z tęsknotą,
 Tego pogodnym obdarzasz spokojem,
 Spojrzeniem matki i matki pieśczętą
 W zaczarowane znów wprowadzasz koło,
 Wracając młodość jasną i wesołą.

Chociaż do ciebie przybędzie złamany,
 Uchodząc losów ciężkiego rozbicia,
 Ty dobrotliwa zagoisz mu rany,
 I spędzisz z duszy palący ból życia,
 I cierpiącego pojednasz człowieka
 Z tem, co już przeżył i z tem, co go czeka.

I wszystkim, którzy do ciebie się garną,
Pozwalasz zebrać odpowiednie żniwo;
Młodzieńcom dajesz serca moc ofiarną,
A starcom dajesz wytrwałość cierpliwą,
Zadowolenie, co twarz kraszą blada,
I uśmiech z jakim do grobu się kładą.

Bo ty o matko masz dla swoich dzieci
Zawsze miłością promienne oblicze,
I twój wzrok jasny, co nam w życiu świeci,
Jeszcze rozwidnia mroki tajemnicze,
Kiedy zamykasz miłosierne łono
Nad garścią prochów — prochom powróconą.

Ranek w górach.

yżłoczone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole — lasy skryte w cieniu
Toną jeszcze w mgłę perłowej,
Co w porannem oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,
I ta rwie się w chmurek stada...
Jak pajęczka, wiotka przędza,
Na krawędziach skał osiada;

A z pod sinej tej zasłony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
Taki jasny, wonny, świeży.

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą,
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą;

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie,
Cudowności świat się piętrzy
W wyłóconej swej koronie.

Góry wyszły jak z kąpieli
I swem łonem świecą czystem,
W granitowej świecą bieli,
W tem powietrzu przezroczystem;

Każdy zakręt, każdy załom,
Wyskakuje żywy, dumny;
Słońce dało życie skałom
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza —
Gra przelotnych barw i cieni
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już źródł srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy...
Już się żywszy odbłask ślizga
Po jeziorek sinej tarczy...

Już pokraśniał rąbek lasu...
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny — a z szalasu
Dolatuja śpiewne echa...

Przez zielony łąk kobierce
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma,
I powietrze chciwie chwyta —
Dusza wybiedz chce oczyma
Upojona, a nie syta;

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona jak z zaklęcia...
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

Morskie oko.

I.

Po nad płaszczami borów, ściśnięte zaporą
Ścian olbrzymich, co w koło ze sobą się zwały,
Ciemne wody rozlewa posępne jezioro
Odzwierciedlając w łonie głazów świat zamarły.

Stoczone z szczytów bryły, mchu pokryte korą,
Po brzegach runowisko swoje rozpostarły;
Na niem pogięte, krzywe, kosodrzewu karły
Gdzieniegdzie nagą pustkę w wianki swe ubiorą.

Granitowe opoki wyniesione w chmury
Rzadko tam żywsze blaski słoneczne dopuszczają...
I tajemnicze głębie kryje cień ponury.

Cisza — tylko w oddali gdzieś potoki pluszczą,
Lub wichry przelatując nad zmartwiałą puszcza
Swym świstem grozę dzikiej powiększą natury.

II.

Fu myśl twórcza straszliwą pięknnością wykwita:
Pięknnością niezmierzonej potęgi i siły,
Co gromami na skałach rozdartych wyryta
Świadczy dziś o przewrotach w łonie ziemskiej bryły.

Dziki zamęt! — Głazami zasłane koryta
Zdają się placem boju, gdzie niegdyś walczyły
Północne groźne bogi i krew ofiar piły
Z czary, która w jezioro upadła — rozbita.

Wszystko tu do ostrego tonu się nagina:
Poszarpane gór grzbiety, wody co czernieją,
Skały, wiszące śniegi, zarośla, mgła sina...

Wszędzie surowa wielkość, przed którą maleją
Sny człowieka, co staje jak mała dziecina,
Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją!

III.

Słońce, gdy na zachodzie złotą tarczę skłoni,
Purpurą zdoła jeszcze skał korony wierzchnie —
Tysiąc tęczowych światła po szczytach się goni,
Tu zsinieje. . tam ogniem zaświeci... znów zmierzchnie;

A w dole na jeziora zamęczonej toni,
Odbity blask zakrwawia drżących wód powierzchnię,
Póki skrwawionej fali płaszcz mgły nie osłoni.
I ostatni rumieniec wieczoru nie pierzchnie.

Wszystko zgasło... świat cały napełniony mrokiem...
Granitowe olbrzymy majaczeją w dali —
Rosną w bezmiar i kształty zmieniają przed okiem...

Mgła pokryła przepaści szarym swym obłokiem
I jezioro zniknęło... lecz słysząc szum fali
I z gór lejący potok wymowniej się żali...

IV.

Noc króluje — na głowę kładzie gwiazd dyadem;
Przez błękity przesiąka niepewna i drżąca
Jasność jeszcze skrytego dla oczu miesiąca;
Mgły ulatują w górę śnieżnych chmurek stadem.

Wszystko topnieje w świetle niebieskiem i bladem
I ciemność nad otchłanią chwieje się wisząca.
Księżyc przez skał szczelinę wstał nad wodospadem,
Srebro leje i w przepaść wraz z falami strąca.

Zwolna cała kotlina z śpiących wód topielą
Wynurza się, jak obraz czarodziejskiej księgi...
Wybrzeża przeraźliwym odblaskiem się bielą,

Jakby pokryte zmarłych śmiertelną pościelą;
Czarne wody w płomienne rysują się pręgi
Przypominając piekiel dantejskie okręgi.

V.



wielki poemacie natury! któż może
Iść w ślad za twych piękności natchnieniem wieczy-
[stem ?

Kto uchwyci poranku wzlatującą zorzę
I zapali rumieńce na niebie gwiaździstem ?

Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łoże ?
Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem ?
Srebrne chmurki zawiesi w szafirów przestworze
I odbije skał ostrza w wód zwierciadle czystem ?

O wielki poemacie! ciebie tylko można
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skrytem,
Gdy pijąc wszystkie blaski, źrenica pobożna

W cichym zachwycie tryśnie źródłem łez obfitem,
Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna
I nakrywą się własnych marzeń swych błękitem.

Kościeliska.



to tatrzańska sielanka
Łagodną wabi ponętą,
Jak dziewczę, co uśmiechniętą
Twarzyczką wita kochanka...
Przez skał rozdartych podwoje
Przegląda wąwozu łono,
Gdzie szumią srebrzyste zdroje
Melodyę głazom nuconą —
Przez skał rozdartych podwoje
Świerk zwiesza konary swoje,
I słońca blask się przeciska...
To Kościeliska!

Zielona skacze dolina
Przez strumień z brzegu do brzegu,
Gdzie potok wstrzyma ją w biegu
Na góry łączką się wspina,
I postać przybiera sielską
Stojąc się w trawę i zielsko,

I kwiaty do swego wianka
 Wplatając ręką niedbałą...
 A dołem skryta pod skałą,
 Z marmurowego wciąż dzbanka,
 Czysta Najada swe fale
 W przejrzystym sączy kryształe,
 I strąca potok z urwiska...
 To Kościeliska!

Pionowo sterczące skały
 Iglami świerków się jeżą,
 W ciemną się zieleń ubrały,
 Lecz w balsamiczną i świeżą,
 Z której gdzie niegdzie szczyt biały
 Kamienną wytryśnie wieżą,
 Lub nagie wapienia ostrze
 Szeroko pierś swą rozpostrze.
 Za każdym drogi zakretem
 Cały krajobraz się zmienia,
 Jakby w królestwie zaklętym
 W głąz zamienione marzenia,
 Dziwaczne fantazyi gmachy
 Z wejrzeniem coraz to nowem,
 Wiszące ściany i dachy,
 Tłoczą się po nad parowem,
 Lub uciekają w lazury
 Ręką marzącej natury
 Wypchnięte z ziemi ogniska..
 To Kościeliska!

Srebrzyste wstęgi katarakt,
Oprawne w zielony szmaragd
Mchów rozesłanych na skałach
I drobnolistnych paproci;
W powietrzu pełno wilgoci
I chłód rzeźwiący w upałach —
Zwalone kłody i mosty,
Łomy strącone z wierzchołków,
Rdzawe na głazach porosty,
Co woń roznoszą fiołków,
Żywiczne świerków oddechy,
Błękitnych niebios uśmiechy,
I spokój dla duszy słodki —
I zawieszzone wysoko
Nad niedostępną opoką
Gwiazdziste srebrne szarotki --
Wszystko się srebrzy lub złoci...
W kropelkach świeżej wilgoci
Tęczową barwą połyska...,
To kościeliska!

Noc pod Wysoką.



Wieczór się zbliżał, a nad naszą głową
Wciąż wyrastały prostopadłe ściany,
I wciąż się zdawał oddalać na nowo
Wierzchołek w słońca promieniach kąpany:
Więc trzeba było myśleć o noclegu,
Zanim nas zdradne ciemności zaskoczą
Na skał urwanych przepaścistym brzegu.

Właśnie się naszym ukazała oczom,
Wciśnięta między dwa ramiona góry,
Kotlina, pełna granitowych łomów,
Które z daleka sterczały, jak mury
Zdobytej twierdzy, lub zburzonych domów.
Była to naga, posępna kotlina,
Cieniem dwóch groźnych wierzchołka piramid
Pokryta. — W głębi toń jeziorka sina
I mchu na głazach zielony aksamit...

*

Zresztą ni trawki, ni krzewu — jedynie
Woda, i głązy, i mchy w rozpadlinie.

Tu, na jeziora zeszliśmy wybrzeże,
Między zwałone bryły granitowe,
By obrać sobie ciche na noc leże,
I mech jedwabny podesać pod głowę
W miejscu, gdzie wielkie głązy pochylone
Od nocnych wichrów dawały osłonę.
Na niebie jeszcze dzień panował biały,
A słońce, góry zasłonięte grzbietem,
Barwiło w szczytach wyżębione skały
Złotem, purpurą albo fioletem...
Czasu dość było do zmierzchu. Usiadłem
Tuż nad zmrózonem jeziorą zwierciadłem,
Co z brzegów w śniegi uprawne i lody,
W dali marszczyło czerniejące wody.
Patrzałem: jako w pracy nieustannej
Fala srebrzystą powłokę podmywa,
Aż tafla lodu dźwięk wydając szklanny,
Pęka i dalej z szelestem odpływa;
Patrzałem: jako na posępnej toni
Kra oderwana krąży wkoło brzegu,
Jak jedna drugą potraça i goni,
Na trud próżnego skazana obiegu...
I żałowałem, że się próżno kręci,
Przypominając sobie ludzką dolę,
W której, ach nieraz, wszystkie dobre chęci
W zaklętem muszą obracać się kole...

Tymczasem dołem gęstsze cienie rosły,
 Bory zsiniały pod mgieł mleczną szatą,
 I szczyt nad głową zagasnął wyniosły,
 Pobladł i barwę przyjął popielatą.
 Wraz z znikającą jasnością promienną
 Ostatnie życia uchodziły ślady...
 Mrok zwiększył martwość pustkowiecia kamienną,
 I obszar zastygł, posepny i blady,
 I swym straszliwym przytłoczył ogromem
 Myśli zbłąkane w państwie nieruchomem.
 Geniusz tych wyżyn, surowy i groźny,
 Powstał z przepaści, mierząc mnie oczyma,
 Swego oddechu siał mi powiew mroźny
 I naprzód rękę wyciągnął olbrzyma,
 Rozpościerając dokoła nademną
 Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną,
 I tę samotność zamarłego świata,
 Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata;
 Samotność, w której milczącym ogromie
 Człowiek swą słabość poznaje widomie,
 I chce się cofać przed nieznaną mocą,
 Przed rozesłaną na przepaściach nocą,
 Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,
 Przed niezbląganem bezlitosnem prawem,
 Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
 Przed nieświadomem... tajemem... nieujętem...

Uczuciem takiej grozy pokonany,
 Między zaciszne powróciłem ściany,

Gdzie towarzysze legli już strudzeni
 Na mchu, pod dachem gościnnych kamieni;
 I sam złożyłem głowę na posłaniu
 W półsennem teraz pograżon dumaniu.

Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;
 Nawet błękitny niebios przeźroczyste,
 Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie,
 Stały się więcej ciemne, przepaściste,
 I tylko ową błękitną ciemnotę
 Gdzieniegdzie gwiazdy przetykały złote.
 Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie
 I wyrównała wnętrza gór podarte,
 Zostało jedno, wielkie rusztowanie,
 Zbitych granitów grzbiety rozpostarte,
 Ponad którymi dwie wierzchołka wieże,
 Dwa wyniesione ostrokręgi cieniu,
 Chwiał się zdawały w niebieskim eterze
 Przy migotliwym drżących gwiazd promieniu.
 Cisza — a jednak w tej pozornej ciszy
 Wysłuchane ucho ciągle wrzenie słyszy,
 Szmer nieustanny, na który się składa
 Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
 I woda, która gdzieś w szczelinie syczy,
 I fal powietrza szelest tajemniczy,
 I pękających głązów łoskot głuchy,
 I wszystkie świata nawpółsenne ruchy.

Czasami skała u szczytu wisząca,
 Stoczy się na dół i z przeciągłym grzmotem,
 O najeżone ściany się roztrąca;
 Huk długo echa powtarzają potem...
 Aż rozsypany gład na drobne części
 W wąwozie gradem kamieni zachrzęści.

I znowu wszystko wraca do spokoju;
 Tylko, jak dawniej, szepczą z sobą góry
 Podmuchaem wiatru i szemraniem zdroju;
 I znowu płynie cicha pieśń natury
 W gwiaździste sfery, w przestrzeń nieskończoną,
 Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,
 I tam się wiąże, i zlewa, i brata
 Z całą harmonią zaziemskiego świata.

Wślad za tą pieśnią myśli moje biegły,
 Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.
 Wolny, choć prawom powszechnym podległy,
 Duch mój wstępował na gwiaździste wozy
 I tracił z oczu ludzkich istnień chwile
 I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
 I zapominał o swojej obroży,
 I o boleści, co go we śnie trwoży.
 On się zanurzył w źródle wiecznie-żywym,
 Poruszającym wielkie koło bytu;
 Uczuł się jednym łańcucha ogniwem
 Rozciągniętego przez otchłań błękitu;
 On znalazł wspólne ognisko żywotów

I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności, albo z gwiazd płomienia:
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

Letni wieczór.

Już zaszedł nad doliną
Złocisty słońca krąg —
Ciche odgłosy płyną
Z zielonych pól i łąk.

Dalekie ludzi głosy,
Daleki słyhać śpiew,
I cichy szelest rosy
Po drżących liściach drzew.

Promieni gra różana
Topnieje w sinej mgle,
A świeży zapach siana
Skoszona łąka śle.

Wraz z wonią polnych kwiatów,
Z gasnącym blaskiem zórz,
Cicha poezya światów
W głąb ludzkich spływa dusz.

W półcieniu pierś olbrzymią
Podnoszą widma gór,
Nocnymi mgłami dymią,
Wdziewają płaszcze chmur.

I wiążą swoje skrzydła
Podarty kryjąc stok,
Jak senne malowidła
Powoli toną w mrok.

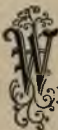
Wieczoru blask niepewny
Oświeśla obraz ten —
Ludzie w zadumie rzewnej
Gonią piękności sen.

Podczas burzy.

Dołem, wicher ciężkie chmury niesie,
O skaliste roztrąca urwiska;
Burza huczy po zczerniałym lesie,
I gromami w głąb wąwozów ciska...
A tam w górze, gdzie najwyższe szczyty,
Lśnią pogodne jak dawniej błękity.

Ach! tak samo na drogach żywota,
Nieraz burza szaleje nad głową,
Wicher nami nad przepaścią miota,
A grom ciemność oświetla grobową,
Jednak wyżej — widać błękit nieba...
Tylko wznieść się nad chmury potrzeba.

Limba.

ysoko na skały zrębie,
Limba iglastą koronę
Nad ciemne zwiesiła głębie,
Gdzie lecą wody spienione.

Samotna rośnie na skale,
Prawie ostatnia już z rodu...
I nie dba, że wrzące fale
Skałę podmyły u spodu.

Z godności pełną żalobą
Chyli się ponad urwisko,
I widzi w dole pod sobą .
Tłum świerków rosnących nisko.

Te łatwo wschodzące karły,
W ściśniętym krocząc szeregu,
Z dawnych ją siedzib wyparły
Do krain wiecznego śniegu.

Niech spanoszeni przybysze
Pełzają dalej na nowo!
Ona się w chmurach kołysze —
Ma wolne niebo nad głową!

Nigdy się do nich nie zniży,
O życie walczyć nie będzie —
Wciąż tylko wznosi się wyżej
Na skał spadziste krawędzie.

Z pogardą patrzy u szczytu
Na tryumf rzeszy poziomej...
Woli samotnie z błękitu
Upaść strzaskana przez gromy.

Wodospad Siklawy.

Jakaż to prządka snuje białe nici,
Które wśród głązów migają tak żywo,
Że je zdaleka ledwie wzrok pochwyci?
Jakaż to prządka rozpierzchłe przedziwo
Łowi po skałach strojnych w szarą pleśń?
I z drobnych nitek srebrną wstęgę przedzie,
I przez granitów przewiesza krawędzie,
Nuąc wieczyście jedno brzmiącą pieśń?

To wartki strumień szumiącej Siklawy
Zagarnia w koło śnieżne ścieki gór,
Na nić swą czarne nawiązuje stawy,
I wiedzie głośny z kamieniami spór,
To potok wzbiera siatką wód pajęczą,
I coraz głębiej pierś wąwozu porze,
I znika w ciemnej gardzieli otworze
Kończąc krajobraz wodospadu tęczą.

Skromny to potok! a jednak w swym biegu
Tyle piękności naszych gór jednoczy —
Chylą się nad nim ściany pełne śniegu,
I gonią za nim czarnych stawów oczy.
Za nim piętrami spadających wzgórz
Ciągną się gruzem zasłane rozdroża,
Jak falujące a zastygłe morza,
Co skamieniały wśród pierwotnych burz.

Skromny to potok! lecz tak wdzięcznym rzutem
Zamyka wąwóz na błękitów tle,
Tak pięknie ginie w wnętrzu skał rozprutem,
Znikając w tęczach albo w sianej mgle.
Skromny wodospad! nie ma w świecie sławy,
Lecz tak mu pięknie w ukrytej czeluści,
Gdy na wiatr wstęgi srebrzyste rozpuści
Skromny wodospad szumiącej Siklawy.

Ulewa.

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sonej ich krawędzi,
Króluje w mgłach świszczący wiatr,
I ciemne chmury pędzi.

Rozpostarł z mgły utkany płaszcz,
I rosę z chmur wyciska —
A strugi wód z wilgotnych paszcz
Spływają na urwiska.

Na piętra gór, na ciemny bór.
Zasłony spadły sine,
W deszczowych łzach, granitów gmach
Rozpłynął się w równinę.

Nie widać nic — błękitów tło
I całe widnokregi
Zasnuje w cień, zalane mgłą,
Porznięte w deszczu pręgi.

I dzień i noc i nowy wschód
Przechodzą bez odmiany —
Dokoła szum rosnących wód,
Strop niebios ołowiany.

I siecze deszcz i świszcze wiatr
Głośnieją się potok gniewa
Na szczytach Tatr, w dolinach Tatr,
Mrok szary i ulewa.

MACIEJOWI SIECZCE

Przewodnikowi w Zakopanem.



Ój przewodniku! tyś mnie wiódł przez góry,
Dając mi poznać ich poezję świeżą,
Nagą, dziewiczą piękność tej natury,
Nie zeszpeconą mdłych legend odzieżą,
Nie rozdrobnioną na powszednie rysy,
Zdawkowe słowa, zdawkowe opisy.

Tyś ją pojmował swoim sercem prostem
Wiernie, jak staje wyciosana z gładów,
Nie pociągałeś fałszywym pokostem,
Co kryje nicość bezmyślnych obrazów,
Ale umiałeś jędrne znaleźć słowo,
Aby jej wielkość wyrazić surową.

Tyś mnie nauczył czuć ją silniej, lepiej,
 Bez wykrzykników i przenośni bladej,
 I w dzikich formach, które ona sklepi,
 Nie szukać natchnień niemieckiej ballady,
 Lecz na nią okiem spoglądać górala,
 Co wszystkie wierchy rozpoznaje zdala.

Tyś mnie nauczył, drapiąc się na turnie,
 Nie brać przyborów romantycznej muzy,
 I na klasycznym nie stąpać koturnie
 Przez naszych żlebów kamieniste gruzy,
 Ale wesoło, bez zawrotu głowy,
 Mijać głęboko wycięte parowy.

Pamiętam, nieraz siedząc na upłazku
 Rzeźbiłeś słowem Tatr skalisty wątek,
 Każdy szczyt w wiernym schwytałeś obrazku,
 Każdej doliny koniec i początek,
 I piętr górzystych oznaczałeś biegle
 Trawiaste kopy i lesiste regle,

Umiałeś kształty każdego olbrzyma
 Z gór zębatego grzebienia wydostać,
 Wskazać, jak drugich ramieniem się trzyma,
 Jaką przybiera z każdej strony postać,
 I na swych palcach przedstawiałeś żywo
 Każde odrębne łańcucha ogniwo;

Ukazywałeś ciemne wód lusterka
 W wgłębieniach, w śniegu błyszczące oprawie,
 Siklawy w przepaść skaczące z piąterka,
 Wnętrza wąwozów splątanych ciekawie,
 Kierunek dolin i strumieni koryt,
 Wszystkim właściwy nadając koloryt.

Wszystko coś mówił — miało więcej wdzięku
 Niż romantyczna daje opisowość,
 Bo mówiąc, miałeś pierś natury w ręku —
 A każde słowo dziwną miało nowość,
 Świeżą poezję górskiego powietrza,
 Dla której rymów i porównań nie trza.

I nie prawileś mi spłowiałej bajki
 O Dziwożonach, lub zaklętych skarbach,
 Lecz dym puszczając z swej króciutkiej fajki,
 Juhasów w żywych malowałeś farbach,
 Życie w szałasach i życie na hali,
 Dolę — niedolę pasterskich górali.

Ich ciemne twarze i kożuszki smolne,
 Zgrzebne koszule, ciupagi i pałki,
 Więcej mi serce rozgrzać były zdolne
 Niż wszystkie Gnomy, Ondyny, Rusalki,
 Co w Tatr poważnych wyniosłym łańcuchu
 Tak wyglądają — jak kwiat przy kożuchu.

Żadne się bowiem widmo nie przyswoi
 Tej wyniesionej pod niebo pustelni,
 Gdzie tylko jeden duch na straży stoi
 Bez kształtów, w które chcą go wprządz śmiertelni,
 Duch wszechświatowy, duch wód i kamieni,
 Co się w milczącej unosi przestrzeni.

Przy nim już nie ma dla fantazyi tworów
 Odpowiedniego miejsca wśród tych wyżyn —
 Wielka symfonia turni, hal i borów,
 Nie znosi ludzkich trefień i postrzyżyn,
 Nie znosi skrzydeł przyprawnych z tektury,
 Gdy sama cała wlatuje do góry.

Ty czułeś dobrze, że wielkość przyrody
 Nie potrzebuje bielidła i rózu,
 Że miło patrzeć na schodzące trzody,
 Gdy z gór pędzone w szarym skaczą kurzu,
 I że tatrzańskiej polany nie szpeci
 W koło szalasu chwast na stosach śmieci.

Tyś czuł, że prawda piękna — chociaż naga —
 Gdy jest odczuta silnie a głęboko;
 Że tracić musi dzika gór powaga,
 Gdy fantastyczną okryć ją powłoką,
 I że nie trzeba robić z skał posągów,
 Ani wytwarzać różnych dziwolągów.

Tyś czuł, że każda z okolic mieć musi
 Swój wdzięk właściwy i wyraz odrębny —
 Że Tatrom trzeba bydła, a nie strusi,
 Że zapatrzone w niebo wiejskie bębny
 Piękne są — tworząc harmonię pastuszą,
 Do której trzeba dostroić się duszą.

Twa estetyka prosta, domorosła,
 Znała jednakże widnokreśli szersze,
 I choć nie byłeś poetą z rzemiosła,
 Co mierzy swoje uczucia na wiersze,
 Choć nie gonileś w laur zmienionej Dafne,
 Poczucie piękna zawsze miałeś trafne,

I realizmu powszedniego mistrze
 Nie mogą ciebie w swej zamieścić szkole...
 Boś kochał wszystko jaśniejsze i czystsze,
 I nie lubiłeś pozostawać w dole,
 Lecz rozumiałeś, że ludziom potrzeba
 Piąć się — by wyrzec oczami do nieba.

Dobrze więc było mnie pod twoją wodzą
 W królestwie głazów dni pogodne przeżyć,
 Chwytać wrażenia jak same przychodzą,
 Piersi nieznanem uczuciem odświeżyć,
 I w samym źródle piękności i czarów
 Ożywczą rosę z śnieżnych pić wiszarów.

Dobrze mi było idąc za twym śladem
Zdobywać z trudem mało znane szczyty,
I z rączych kozic spotykać się stadem
Przeskakującym granitowe płyty,
I na najwyższym ostrej turni zębie
Ogarniać wzrokiem nieprzejrzone głębie.

A chociaż czasem deszcz lał jakby z cebra,
I trzeba było zmoczonym do nitki
Umykać na dół z skalistego żebra,
By gdzie w szczelinie czas przeczekać brzydki...
Tyś miał w zapasie zawsze myśl wesolą,
Co rozchmurzała zasepione czoło.

I słodko było gwarzyć z tobą potem,
Po całodziennym spoczywając znoju
Pod rozpostartym błękitów namiotem,
Po nad brzegami jeziorka lub zdroju,
Gdzieśmy budzili krzykiem echa dolin,
I chleb chwyтали — głodni jak Ugolin.

A gdy ostatnie gasły zórz kolory,
Wtedy i nasze przycichły gawędki...
Bośmy słuchali, co szumiały bory,
Co na kamieniach szemrał potok prędkie,
Myśmy milczeli... a gwarzyły skały...
I tak wśród marzeń dzień nadchodził biały.

To wszystko jeszcze w mych myślach się kręci,
I wszystkie twoje starania i prace
We wdzięcznej u mnie zostały pamięci —
Więc dług wdzięczności wspomnieniami płacę,
Które, jakkolwiek speliły na papierze,
Jednak gór tchnienie przechowują świeże.

Giewont.

Stary Giewont na Tatr przedniej straży
Głową trąca o lecące chmury —
Czasem uśmiech przemknie mu po twarzy,
Czasem brwi swe namarszczy ponury,
I jak olbrzym w poszczerbionej zbroi
Nad kołyską ludzkich dzieci stoi.

Przez ciąg wieków wznosi dumne czoło,
I wysuwa pierś swą prostopadłą,
Patrząc z góry na wieśniacze sioło,
Co pokornie u nóg jego siadło.
Przez ciąg wieków straż swą nad niem trzyma
Z troskliwością dobrego olbrzyma.

Wypiaستował już pokoleń wiele,
Które wieczny związek z nim zawarły,
Z nim złączyły swe losy i cele,
Przy nim żyły i przy nim pomarły,
Nawet myślą z pod jego opieki
Nie wybiegłszy nigdy w świat daleki.

Wypiastował cały ród górali —
 On ich widział, gdy dziećmi radośnie
 U stóp jego bawiąc się pełzali,
 Widział młodzież, jak mu w oczach rośnie,
 Jak się krząta koło swego plonu,
 Widział potem starców w chwili zgonu.

Zna więc dobrze bieg ich trwania krótki,
 W ciasnem kółku zamknięte nadzieje,
 Ich radości, pragnienia i smutki,
 Co ich boli, co im piersi grzeje,
 Zna zabiegi i spory gorące
 O kęs ziemi na polach lub łące.

On się przyjrzał kolejom powszednim,
 I był sędzią już niejednej sprawy...
 Nieraz w nocy rozegrał się przed nim
 Jaki dramat posępny i krwawy —
 Widział różne skryte ludzi czyny,
 Widział cnoty, widział także winy.

Lecz choć czoło chmurami powleka,
 Zbyt surowo nikogo nie sądzi,
 Bo zna dolę biednego człowieka,
 Który idąc na oślep zabłądzi,
 I o głodzie wzrok obraca chciwy
 Na żyzniejsze swych sąsiadów niwy.

Raczej czuje dla tej biednej rzeszy
 Wielką litość w piersi swej kamiennej,
 Od kolebki bawi ją i cieszy,
 Z każdą chwilą biorąc strój odmienny,
 Przed jej okiem stroi się i wdzięczy
 Pożyczając wszystkie barwy tęczy.

Dla niej wstaje w gęstej mgły zasłonie,
 Którą zwolna zrzuca z ramion we dnie,
 Dla niej w wieczór cały ogniem płonie,
 I szarzeje, mroczy się i blednie,
 Zawieszając księżyc w swojej szczyrbie,
 Jakby srebrną Leliwę miał w herbie.

Dobry olbrzym! troszczy się o ludzi
 Co się jego powierzyli straży —
 Śpiące dusze z odrętwienia budzi,
 I piękności poczuciem je darzy,
 I rozrzuca nad dzieciństwo nocą
 Pierwsze blaski, które życie złocą.

Tak jak w baśni: kocha się w pasterce
 Dobry olbrzym i dobiera kluczy
 By otworzyć nawpół dzikie serce;
 Tak jak w baśni: swych tajemnic uczy,
 Uczy znosić ciężkie losu brzemię,
 I miłować swą rodzinną ziemię.

MOZAJKA.

Na zgon poezyi.

Nie! nie umarła, jak to próżno głoszą,
Ta jasnych krain pani i królowa,
Co serca ludzkie napawa rozkoszą;
Żaden ją grabarz pod ziemię nie schowa,
Nie stłumi natchnień, które pierś jej wznoszą,
Nie skazi wdzięku cudownego słowa,
Bo nim ją w piasku mogilnym pogrzebie,
Już z nową jutrznią zabłyśnie na niebie.

Ci, którzy mówią ciągle o jej zgonie,
Czyliż nie wiedzą? że ma żywot wieczny
W piersiach ludzkości i w natury łonie,
Że się odnawia w jasności słonecznej,
W ogniu młodości, co wieczyście płonie,
I czarodziejsko w jeden węzeł splota
Marzenia ludzi z pięknościami świata.

Czyliż nie wiedzą? że ona jest wszędzie
 Rozlaną w całej błękitów przestrzeni,
 Że ciemnych jaskiń przenika krawędzie,
 I świeżym liściem w gruzach się zieleni,
 A choć zużyte porzuci narzędzie,
 Choć dawne swoje koryto odmieni,
 To w nowych myślach, uczuciach lub czynie,
 Naprzód z wezbranym prądem życia płynie.

Na cóż więc trwoga o jej przyszłe losy?
 Czyliż zabraknie wiosennych błękitów?
 Czyliż zabraknie łez ożywczej rosy,
 Snów bohaterskich, miłosnych zachwytyłów?
 Czyliż ucichną tajemnicze głosy
 Stłumionych pragnień i rozpaczy zgrzytów,
 I czyliż wszystko w nicość się rozwieje,
 Co żywi całych pokoleń nadzieje?

Nie! nic nie zginie z uczuć przedzy złotej,
 Choć wzór powolnej ulegnie przemianie —
 Zawsze tak samo młodych skrzydeł loty
 Wzbijać się będą nad ciemne otchłanie,
 Zawsze te same słowicze tęsknoty,
 I żądza szczęścia ta sama zostanie,
 I sercom ludzkim śpiewną da wymowę,
 Dźwięki tak znane a tak wiecznie nowe.

Niewczesne wasze żale, o wróżkowie,
 Co nieśmiertelnej śmierć wróżyście pewną;
 Ona się w martwym nie zamyka słowie,
 Nie jest zaklętą w marmur ani w drewno,
 Lecz ma sklepienia niebios za wezglowie,
 A na usługi sfer harmonię śpiewną,
 I rządzi z góry sercem niewolnika —
 Jak chce zstępuje — i kiedy chce znika.

Ona żyć będzie, choć jej oddźwięk zgłuchnie
 W lutniach śpiewaków i sercach słuchaczy,
 Ona w grobowem przechowa się próchnie,
 Przetrwą mrok zwątpień i burzę rozpaczy,
 I świeżym ogniem w przyszłości wybuchnie,
 I znowu świat ją zchodzącą zobaczy
 Biorącą berło, by rządzić wszechwładnie,
 I znów z miłością do nóg jej upadnie.

Ta trumna, którą do grobu składacie,
 Zawiera tylko kształt jej już przeżyty,
 Uwiedłe kwiaty na jej ślubnej szacie,
 Woń znikającą, lutni dźwięk rozbity.
 Wolno wam płakać po kochanki stracie,
 Co w was młodzieńcze budziła zachwyty,
 Ale nie wolno orzekać — że ona
 Dla serca ludzi na zawsze stracona.

Wy się nie troszczcie o nią — o wróżbici!
Bo ona w piasku mogilnym nie leży,
Lecz dawnych marzeń potargane nici
Przerabia w ciszy na strój inny, świeży,
W którym znów serca stęsknione zachwyci
Nowych kochanków i nowych rycerzy.
Nie płaczcie nad nią — bo ona w obłoku
Na chwilę tylko uszła ludzi wzroku.

Sam na sam.

Dzień był tak ciężki!... Wieczór taki głuchy...
Wiejący grobów chłodem i żałobą...
Wszystkie życzliwe odbiegły mnie duchy,
Łzy i nadzieje unosząc ze sobą; —
Więc przy ognisku wygasłem, zczerniałem,
Sam na sam tylko z nieszczęściem zostałem.

Gość to surowy — czuwa on przytomnie,
Bym chwilę w słodszej nie spoczął marzeniu,
By żaden uśmiech nie doleciał do mnie,
Na jakim słońca jaśniejszym promieniu,
I od wszelakiej pokusy mnie broni,
Zawsze w żelaznej przytrzymując dłoni.

Gość to surowy — serca nie rozpieści,
Ani mu nie da we łzy się rozplynać;
Lecz wszystkie naraz gromadząc boleści
Każe mu stwardnieć pod ciosem — lub zginać...
I dalej w przyszłość prowadzi mnie ciemną,
Upominając że wciąż będzie ze mną.

Ja mu zaś mówię: pozostań na straży
 Mojego życia jak wierny towarzysz,
 Do twojej groźnej przywykłem już twarzy,
 I do tych ciosów, któremi mnie darzysz,
 I skorzystałem wiele z twej wymowy,
 Nauczycielu wielki! choć surowy.

Dość mi, że wobec ciebie nie złamany,
 Na gruzach całej swej przeszłości stoję...
 Na tych dni kilka nie pragnę odmiany,
 Bo nie dbam więcej już o losy swoje,
 Lecz gdy mnie własne cierpienia utrudzą,
 Potrafię jeszcze żyć radością cudzą.

Niech więc twa ręka wszystko we mnie kruszy,
 Co z osobistem pragnieniem się wiąże:
 Najlepszej części nie wydrzesz mi z duszy,
 Ni tej światłości w której stronę dążę...
 Depcz śmiało ziemską istotę ułomną,
 O której duch mój i ludzie zapomną.

To co dobrego w moich piersiach tkwiło,
 Co się wiązało z wspólnem życiem świata,
 To — pozostanie pięknością lub siłą,
 Chociaż znikoma już opadnie szata,
 I w innych sercach żyć na nowo będzie,
 Dotychczasowe rzuciwszy narzędzie.

Zresztą — niech wszystko niepamięć pochłonie,
Co nosi doli osobistej piętna —
Niech się rozgrywa dalej w mojem łonie,
Ta walka z losem smutna i namiętna...
Bo oto w świetle grobu tajemniczem,
I ból... i rozkosz... zarówno są niczem!

Teatr w Tusculum.

Na gór albańskich łagodnym zakręcie,
Na dwóch złączonych pagórków grzebieniu,
W draperyi dębów włoskich jest wycięcie,
Gdzie gruzy drzemią w pustce i milczeniu.
Szeroko tutaj rozsiadły się kołem,
Pokryte wieków pleśnią i popiołem.

Jak tylko ścieżka z lasu się wynurza,
Rododendrony witają wędrowca,
I sam laur biegnie prowadzić przez wzgórza
Do kamiennego przeszłości grobowca,
I pokazuje ów laur wiecznie młody,
Gdzie cycerońskie kwitły wprzód ogrody.

Lecz nie dobiega do ruin — by szumem
Nie przerwać wielkiej ciszy i powagi,
I pozostaje z innych krzewów tłumem,
A gruzy leżą na wyżynie nagiej.
I patrzą w błękit... tylko wśród kamieni
Bluszcz się przeciska jak wąż i zieleni.

Dawnych pałaców olbrzymie szkielety
 Wryły się w ziemię i zielskiem zarosły,
 Gdzie niegdzie sterczą poszarpane grzbiety,
 Gdzie niegdzie leży kolumny wyniosłej
 Strzaskany odłam — a na wyższym piętrze
 Widać odarte i pęsejne wnętrze.

Po nagich ścianach z różnobarwnej law
 Sączy się wilgoć i kroplami ścieka,
 A te łązy żywią w szczelinach mech rdzawy,
 Co jak krwi plamy wygląda z daleka;
 Lecz nie dziwnego że płacze ruina,
 Jeśli swą dawną wielkość przypomina.

Białych okruchów marmurowych mnóstwo
 Wala się wszędzie pod nogą przechodnia;
 Może nie jeden Cezar albo bóstwo,
 Nie jedna wielkość i nie jedna zbrodnia,
 Ale czas zgładził całe pokolenia
 Bogów i ludzi, z gliny, czy z kamienia.

Zdała od ruin natłoku — samotnie,
 Tuż u podnóża skał wiszącej ściany,
 Rzymski teatrzyk wdzięczy się zalotnie
 W kotlinie liściem akantów ubranej.
 Po stopniach sływa półkołem ku scenie,
 Gdzie dwie kolumny zdobią podwyższenie.

Czas uszanował to klasyczne dzieło,
 Tylko ciemniejsze narzucił mu tony —
 W liniach się całe mistrzostwo zamknęło,
 Co dało kształtom wdzięk niewysłowiony,
 I jest podobnym ten teatrzyk szary,
 Do białej w ziemię marmurowej czary.

Sklepieniem są mu niebieskie błękity,
 Co ściany światła obmywają strugą,
 I tak błękitną kopułą nakryty
 Na widzów czeka — ci śpią nadto długo!
 I próżno scena wdzięcznie się przymila,
 Myśląc o jakiej tragedyi Eschyla.

Wszystko gotowe! krajobraz gotowy!
 Widać kolumny portyku... za niemi
 Lasy i wzgórza, strumienie, parowy,
 I wielki obszar cudnej włoskiej ziemi,
 Wszystko tak piękne i pełne kolorów,
 Brak tylko dotąd widzów i aktorów.

Widzem ja byłem; zstąpiłem z pagórka,
 Siadłem na stopniu, i słucham... i patrzę...
 Oprócz mnie jedna przybyła jaszczurka,
 I drugie miejsce zajęła w teatrze,
 I głucha cisza wypełniła mury,
 Oczekiwaniem na tragedyi chóry.

Ale chór dawno nad ruiną przewiał
I w kraj przeszłości uleciał zamierzchły,
Ustały skargi — krwawy miecz zardzewiał,
Wyniosłe cienie bohaterów pierzchły,
I zeszyły z sceny pokolenia całe,
Unosząc z sobą rozpacz, wstyd, lub chwałę.

Dziś nie już śpiącej fali nie poruszy,
I grobów ciszy nie przerwie pokutnej,
Scena już pusta — i tylko w mej duszy
Na nowo dramat rozgrywał się smutny,
Po stosach ofiar zdążając przez wieki
Ku jakiejś gwiazdzie jasnej i dalekiej...

Tusculum 1872 r.

Dwa anioły.

Dwa anioły spotkały się w locie,
Ponad ziemią, wśród błękitnych mórz:
Jeden płynął w purpurze i złocie...
Miał wejrzenie jakby rannych zórz;

Drugi w czarnych aksamitach tonął,
Łez brylantem świecił jego wzrok —
A na głowie wieniec z gwiazd mu płonął
I rozjaśniał nieskończony mrok...

„Wracam z ziemi — rzekł pierwszy z aniołów —
Gdziem w ogrodzie życia kwiaty siał,
Rozdmuchiwał płomienie z popiołów
I przyspieszał nowy rozkwit ciał.

„Tam widziałem, w ciemnej nieszczęść nocy,
Dwóch serc czystych krwawy z losem bój,
Dwojga istot gorzki ból sierocy,
Ich samotny, ciężki życia znój.

„Więc zbliżyłem dwie niedole z sobą...
 I miłości owiałem je tchem...
 A z dwóch smutków, nad dawną żałobą,
 Szczęście rajskim wykwitnęło snem!“

„Ja — rzekł drugi w gwiazdzistej koronie —
 Wracam także z owych ziemskich pól,
 Gdzie na chorych sercach kładłem dłonie...
 I na zawsze kołem ich ból.“

„Tam spotkałem, pomiędzy innemi,
 Jedną duszę szlachetną, bez plam —
 I kochałem tego syna ziemi,
 Co pięknnością dorównywał nam.“

„Lecz dojrzałem, że w żywota męce
 Zaczął chwiać się... rdzy dostrzegłem ślad,
 I strwożony wyciągnąłem ręce,
 By, padając, nie poplamiał szat.“

„I miłością prowadzony czystą,
 Jak najciszej zbliżyłem się doń...
 Zarzuciłem zasłonę gwiazdzistą...
 I na sercu położyłem dłoń.“

„W mych objęciach on teraz bezpieczny
 Bo już władzy nie ma nad nim czas —
 I zostanie w swej piękności wiecznej,
 Nietotknięty żadną z ziemskich skaz“.

Czarodziejka.

Z wdziękiem wiosny nieśmiertelnym,
W jutrzeńkowym blasku szat,
Wraz z orszakiem swym weselnym,
Czarodziejka idzie w świat,
Z uwieńczoną biegnie skronią,
Z śpiewem ptasząt, z kwiatów wonią.

Przed nią sylfów jasna rzesza,
Swoją weselną nucąc chór,
Na obłokach tęcze wiesza,
I otrząsa rosę z piór, —
I obwieszcza jej przybycie
Świeżą rozkosz, nowe życie.

Świat zakwita cały przed nią
I różowy bierze blask,
Płonie szczęścia przepowiednią,
Pożądaniem słodkich łask.
Wszystko wschodzi, wszystko rośnie,
Pod jej stopą drząc radośnie.

Ona, z twarzą uśmiechniętą,
 Coraz nowych gości zwie
 Na weselne życia święto,
 Na godowe krótkie dnie.
 I z złotego swego lejka
 Słodycz sączy — czarodziejka.

Wiecznie piękna, wiecznie młoda,
 Biesiadników poi krąg;
 Ledwie komu czarę poda,
 Już ją wyrwie z chciwych rąk
 I unosi z sobą dalej,
 Na świetlanej biegnąc fali.

Próżno za nią skargi gonia,
 Próżno westchnień płynie szmer:
 Ona z śpiewem, blaskiem, wonią,
 Już do innych zdąża sfer,
 Zawiedzionym co się skarżą,
 Z uśmiechniętą mówiąc twarzą:

„Czyż sądzicie, że wy jedni,
 Macie zgarnąć cały dział,
 Waszym żądzom odpowiedni,
 I nasycić pragnień szął?
 Że wam jednym tylko służę,
 Niosąc życia miód i róże?

„Czyż sądzicie, że mnie wiele
 Obejść może ludzki los? —
 Ja natury spełniam cele,
 Nie zważając na wasz głos;
 Nikt nie wstrzyma mnie na drodze,
 Jak przybyłam, tak odchodzę.

„Muszę naprzód iść bezwzględnie,
 Wszystkim nowy wieścić dzień —
 Co zakwitło — niechaj zwiędnie,
 Niech opada w proch i cień,
 Ustupując miejsca nowym
 Pączkom wonnym a różowym.

„Korzystajcie zatem z chwili,
 W której napój niosę wam...
 Kto raz czarę mą wychyli,
 Co w niej znajdzie — mało dbam;
 Czy się cieszy, czy się żali,
 Niewzruszona idę dalej.

„Nie mam czasu tych żałować,
 Co przeżyli porę swą:
 Inne usta chcą całować,
 Inne serca kochać chcą;
 Przyszłość świata, niecierpliwa,
 Głośnym krzykiem mnie przyzywa!

Tantal.

Niegdyś w pragnienia wieczystego męce,
Na wskrós palony żary piekielnemi,
Naprawdę swoje wyciągałem ręce
Po owoc, który uciekał przed niemi,
I próżno usta swe na fali kładłem,
Goniąc za wiecznie kłamliwym widziałem.

We mnie i za mną wrzało całe piekło,
Na pastwę mękom wydając mnie nowym,
Piersь moją bólem strawioną i spiekłą.
Erynnye biczem krwawiły węzowym,
I urągały mi te mściwe duchy,
Patrząc na mojej wściekłości wybuchy.

A ja naówczas ciągle pożerany
Żądzami, które w nieskończoność rosły,
Byłem jak ogniem ziejące wulkany,
Na przekor losom groźny i wyniosły,
I jakaś wielka tytaniczna siła
W wnętrzościach moich skrepowana tkwiła.

Więc choć bóstw łaski wzywałem w mej kaźni,
 To prośba moja do podziemnych grzmotów
 Była podobną — i sam bez bojaźni,
 Przeciw ich woli stanąć byłem gotów,
 Bom czułem, że w gniewnej ducha zawierusze
 I więzy moje i świat cały skruszę.

Teraz bogowie próśb mych wysłuchali,
 I mąk wieczystych zdjęli ciężar ze mnie,
 Piers się już moja płomieniem nie pali
 I nie pożądam niczego daremnie, —
 I nic nie pragnę, za niczem nie gonię,
 Lecz obojętnie patrzę w wieków tonie...

Dzisiaj piekielne mnie się nie śnią rzeczy
 Z moich udręczeń nikt się nie natrzęsa,
 Głos Eumenid już mi nie złorzeczy,
 I bicz węzowy serca mi nie kęsa:
 Ucichły jęki, zagasły płomienie,
 I martwe tylko nastało milczenie.

A oto w takim odrętwieniu głuchem,
 W którym mnie żadna boleść nie dosięga,
 Wraz z żądz straconych burzą i rozruchem,
 Cała się moja rozpierzchnęła potęga,
 I dziś minionych męczarni żałuję,
 Gdyż się nędzniejszym — niżli przedtem czuję.

Wróćcie mi zatem nieśmiertelne bogi!
Grozę mych piekieł i straszliwe kary,
Wróćcie mi widok Erynni złowrogi
I niezgaszone pragnienia pożary!
Niech się rwie Tytan ze swego łańcucha,
Niech pragnie, cierpi, — lecz niechaj wybucha.

Epaminondas.



chwili zwycięstwa, wśród walczących tłoku,
Żelazny grot utkwiał w jego boku,
I przeszył pierś i pozostał w ranie...
Na tarczy swe wzięli go Tebanie
I do namiotu zanieśli. Obficie
Krew uchodziła a z nią razem życie.
Wódz podniósł głowę i na orszak zbrojny
Badawczo wzrok zwrócił niespokojny.
Trwoży go boleść na twarzach wyryta:
„Czy ustał bój? — niecierpliwie pyta —
„Czy z rąk nam pewne zwycięstwo wydarto?“
Odrzekli: „Wszystko skończone ze Spartą,
I nadal jej dziś zwyciężkie Teby
Nie będą miały lękać się potrzeby“.
„Zkądże więc żal w waszych sercach gości,
Zamiast tryumfu dumy i radości?“
A na to w głos rzekną mu rycerze:
„Najszlachetniejszą los nam zdobycz bierze,
Gdyż żywot twój, tak ojczyźnie drogi,
Uciekające zabrały nam wrogi...
I szkoda nam twych dni pełnych chwały,
Pod których tarczą Teby zwyciężały,

I smutno nam, że tak bez potomków,
Którym-byś sławę przekazał wśród ziomków,
Odpływać masz na posępnej łodzi...
Wszak cenić życie wszystkim nam się godzi?“
I ja też cenię — z dumą wódz odpowie —
Ów życia dar, który nam bogowie
Zsyłają na to, by wśród przeszkód wielu,
Wytknąwszy cel — prosto iść do celu
I zbierać słodycz po drodze rozlaną
I jasność niebios podziwiać różaną.
Jam ten dar cenił -- bo kto w swojej dumie
Pogardza nim, pewnie ten nie umie
Żyć i umierać. Lecz dlatego właśnie,
Żem cenił życie — teraz, kiedy gaśnie,
Bez żalu mogę rzucać jasność słońca,
Widząc je czyste i piękne do końca.
Ginąc w sam czas, wśród walki zwycięskiej —
To najpiękniejszy koniec pracy męskiej;
I bardzo mnie obdarzyły nieba,
Dając i żywot i zgon, jaki trzeba.
Pięknie mi przeszedł cały wiek młodzieńczy,
A teraz jeszcze najpiękniej go wieńczy
Chwalebna śmierć, która pracownika
Strudzone oczy pod wieczór zamyka.
Nie schodzę przytem z świata bezpotomnie:
Mam córki dwie — te zostaną po mnie...
Leuktra jedną, Mantinea drugą —
Te będą żyć po mym zgonie długo“.

Odpowiedź przeszłości.

Ozasem, gdy smutny o przeszłości marzę,
Ona przedemną staje jak w obrazku:
Widzę pogodne greckich mężów twarze
Od wewnętrznego jaśniejące blasku,
I widzę młodzież, jak w wesołym gwarze,
Wśród mirtowego mocuje się lasku,
I widzę starców uśmiech, który leci
Zadowolniony — do niebios i dzieci.

Wszędzie źródł życia jasnym nurtem płynie
I harmonijnie dla ucha szeleści;
Tyle piękności w tej cudnej krainie,
Tyle rozkoszy i szczęścia się mieści,
Tyle odwagi w każdym ludzkim czynie,
I tyle nawet spokoju w boleści!...
Każdy wesoło w błękity spoziera,
Bez skargi żyje, bez jęku umiera.

Młodość, tak w siłę i powab obfita,
 Nieśmiertelnością z bóstwami się dzieli,
 Poezya życia pięknnością zakwita
 W melodyach pieśni i posągów bieli,
 I starość nawet, choć dni swoich syta,
 Wieczornym blaskiem jeszcze się weseli,
 Przez marmurowe portyków kolumny,
 Nowych zwycięzców śledząc pochod dumny.

Każdy znajduje szczęście, choć nie szuka,
 I słodkim wdziękiem życia się napawa,
 Mędrcom nie chmurzy czoła ich nauka,
 I bohaterom nie ciąży ich sława;
 A choć niedola do grodów zapuka,
 Choć na kraj spadnie jaka klęska krwawa...
 Nikt nie narzeka — lecz wszyscy się zbroją,
 Idąc z pogodą pełnić służbę swoją.

Więc gdy porównam tę słoneczność ducha,
 Z jaką przez ziemię niegdyś szli szczęśliwi,
 Do nocy, która otacza nas głucha,
 Do tej goryczy, co nam usta krzywi
 I z serca krzykiem rozpaczy wybucha,
 Ta nagła zmiana straszy mnie i dziwi,
 I nie wiem, czemu teraz mrok osłania
 Ziemskich jutrzeńek promienne świtanie?

Nie wiem, dlaczego ludzie tak się chwieją
 I przeklinają dzień istnienia krótki?
 Czemu nie żyją przyszłości nadzieją,
 Lecz snują z siebie samolubne smutki?
 Nie wiem, gdzie z wieków minionych koleją
 Pierzchły szlachetne do życia pobudki?
 Gdzie się podziały życiodajne źródła,
 W których świat dawny czerpał siły swoje?

Zniknione przeto przywołuję cienie,
 By powiedziały: w czym ich tajemnica?
 Zkąd brały swoje ożywcze promienie
 I uśmiech, który przystrajał im lica?
 Gdzie kupowały i po jakiej cenie
 Szlachetny spokój, który nas zachwyca?
 A tak pytając, gdy ucho wyteżę,
 Słyszę odpowiedź, co ślą greckie męża.

„Za naszych czasów — powiadają oni —
 Nie samą także rozkosz niosło życie —
 Lecz nikt nie zdążył w namiętnej pogoni
 Za marą szczęścia wypieszczoną skrycie,
 Nikt samolubnej nie wyciągał dłoni,
 Ani się w własnym nie zasklepiął bycie,
 Każdy dla drugich żył — a w dumie męskiej
 Miał swoją tarczę na ciosy i klęski.

„Życie człowieka wówczas się zlewało
 Z życiem narodu w jeden silny związek,
 I pnia swojego wielkością i chwałą
 Żywił się zawsze splot świeżych gałązek;
 Dla wszystkich dobro powszechnie jaśniało,
 Wszystkim do szczęścia starczył obowiązek,
 Los osobisty rzeczą był podrzędną —
 Każdy o wieńcach myślał, co nie wiedną.

„Każdy krąg swego istnienia rozszerzył,
 Żyjąc w swych ojcach i braciach i synach,
 I całe dzieje swej ojczyzny przeżył
 W nowych nadziejach i spełnionych czynach,
 I w nieśmiertelność swojej pracy wierzył;
 W myśl kielkującą wiecznie na ruinach,
 Co w doskonalszej wschodząc wciąż postaci,
 Za trudy ojców potomnym zapłaci.

„Tak szliśmy wiedząc, gdzie dążym i po co,
 Z obróconemi do światła oczami,
 Tęczowe blaski, co dzień życia złocą
 W wieczne piękności przerabiając sami;
 Te dziś nad grobu tajemniczą nocą
 Z rozwiniętymi wzlatują skrzydłami
 I wyraz naszej pogody i siły
 W kształcie posągów jasnych uwieczniły.“

Dwie fazy.

I.

Kiedy myśl wielka nagle zajaśnieje
I porwie z sobą mętną ludzi falę,
Burzliwym prądem niosąc ją przez dzieje
Ku szczęściu, prawdzie, zwycięztwu i chwale,

Wtenczas pierś każda ludzka olbrzymieje —
I po nad trwogi powszednie i żale,
Każdy jak Tytan wyrasta zuchwale,
Po nieśmiertelną sięgając nadzieję.

Wtedy z owego tajnego ogniska,
Na świat ożywcze spływają promienie,
Życie, co siłą i młodością tryska,

Zyskuje na swej wartości i cenie,
A i śmierć sama pięknnością połyska,
Jak godne męskiej pracy zakończenie.

II.

Fecz gdy zagaśnie blask promiennej zorzy,
Gdy myśli ożywcza sercami nie włada,
Zaraz duch ludzki waha się i trwoży,
I nizeziemnieje znowu i upada;

Wówczas — strach tylko pędzi ludzkie stada,
W których zepsucie i rozpacz się mnoży...
I rzesza ludów przerażeniem blada,
Błądzi bez celu wśród ciemnych rozdroży.

Wówczas -- świat dziwnie zmieniony i stary,
Samą goryczą swoim dzieciom płaci,
Życie bez pragnień, bez natchnień, bez wiary,

Cały swój urok, całą jasność traci,
A śmierć w ohydnej zjawia się postaci,
Jak straszne widmo nicości i kary!

O d a.



ciemności czasów,
Wśród krzywd i gwałtów kolei złowrogiej,
Wśród krwawych o łup zapasów,
Wśród nienawiści i trwogi, ·
Nad grozą powszechną bytu,
Nad dzikim żyjących zgiełkiem,
Jak gwiazda na tle błękitu,
Niebiańskim płonie światelkiem
Miłość, co całej królując naturze
I słodsze budząc pragnienia
Ucisza walki... i burze
W jasność przemienia.

Cichą ponętą,
Pociągami zmysłów i czarem rozkoszy,
Srogość łagodzi zawziętą,
Zajadłość zemsty rozproszy...
Gdy usta ogniem zapali
I pocałunkiem połączy,

To z ust płonących koralu
 Do serca słodycz przesączy,
 I z miłosnego kochanków uścisku
 Wytwarza węzeł wśród świata,
 Który przy wspólnem ognisku
 Wrogów pobrata.

Z namiętnych zmysłów upojeń,
 Z cielesnych pragnień i szału,
 Dnieje świt uczuć i rojeń,
 Brzask ideału,
 I płomień żądzы znikomej
 Blaskami coraz jaśniej czystsze,
 Ogarnia światów ogromy,
 Niebiosa zbliża ku ziemi.
 Coraz to głębiej w sferę ducha sięga,
 I w sercu co zwolna mięknie,
 Rozmiłowanie w nieśmiertelnem pięknie
 Szczepi miłości potęga.

Coraz to wyżej i dalej
 Chór duchów wiedzie skrzydlaty,
 I na kształt świetlanej fali
 Przenika światy.
 Technieniem harmonii i zgody,
 Boski porządek z zamętu dobywa,

Wiąże plemiona i rody
 W jednej całości ogniwa,
 Nietylko samą rozkoszą nietrwałą
 Sercom napawać się każe,
 Lecz uczy wznosić dla Bóstwa oltarze
 I jego oddychać chwałą.

Po szczeblach stopniowych przemian,
 Na idealnej podnosząc się zorzy,
 Zwycięzka miłość dla ziemian
 Najśłodsze dary swe mnoży,
 W stubarwne mieniać się blaski,
 Cierpiącej, znękaney rzeszy,
 Litości, pociechy, łaski,
 Promienie rozsyłać śpieszy.
 Z pod stóp jej wszystkie uczucia wykwitną,
 Zdobiąc owiane jej tchnieniem istoty —
 I poryw serca staje się już szczytną
 Miłością prawdy i cnoty.

Świat się zaludnia powoli
 Orszakem czystych szlachetnych postaci,
 Co cudzej służą niedoli,
 Dla szczęścia pracują braci.
 Synowie światła i chwały,
 Jasne półbogi się wznoszą,

Którym kochanką świat cały,
A poświęcenie rozkoszą...
I idą własną ofiarować mękę,
Z wielkiej dla istot cierpiących miłości,
Dobra i prawdy zapalać jutrzenkę
W ogniu duchowej wolności.

Do młodych.



Szukajcie prawdy jasnego płomienia!
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg...
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia,
I większym staje się Bóg!

Choć otrząśnięcie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozproszycie legendowy mrok,
Choć mgłę urojeń zedrzą z błękitów,
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwytyłów,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.


Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach...
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele,
Przyszłości podnoście gmach!

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wzniesić;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!

Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idealnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi —
I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!

KANTATA
NA JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

Chór.

zczęśliwy komu w życiu dano
Doczekać plonu swojej pracy,
I ujrzeć myśl swą przechowaną
I najpiękniejsze zdobyć wiano,
Z kłosów, co niosą mu rodacy.

Szczęśliwy, kto swą pierśią własną,
Wykarcił całe pokolenia,
I wytknął dla nich drogę jasną,
I w nowych jutrzniach co nie gasną
Ogląda dzieło odrodzenia.

Szczęśliwy, kto szedł naprzód w znoju
 Z hasłami, które ludzkość budzą;
 I walcząc w ciszy i pokoju
 Dokonał ludzkich dusz podboju,
 Niezaćmionego krzywdą cudzą.

Szczęśliwy! Palmy zwycięstw z dłoni
 Nie wydrze ramię mu niczyje —
 Burza go nieszczęść nie dogoni —
 On wyszedł z ciemnej losów toni
 I nieśmiertelny w sercach żyje.

Głos.

I naród żyje, gdy mu przodem
 Pochodnią wielkich myśli świeci,
 I jeszcze wielkim jest narodem,
 Gdy się odświeża życiem młodem
 Wydając z siebie takie dzieci.

Żyje, gdy na świat z jego łona
 Wychodzą zbrojni wciąż rycerze,
 Których wróg żaden nie pokona
 A ludzkość ze czcią ich imiona
 Wpisuje w dziejów karty świeże.

Żyje ten naród, co prawdziwą
 Zasługę pojmie i ocenia,
 I w ślad za myślą idzie żywą
 I zbiera świeżych kłosów żniwo
 Na drogach swego odrodzenia.

Chór.

Więć w uroczystym dziś obchodzie,
 Wielkiego męża czcijmy święto,
 W bratniej miłości, w bratniej zgodzie,
 Nieś mu życzenia swe Narodzie,
 Niech kończy pracę rozpoczętą.

Niech rozpościera jasność wszędzie,
 I zbiera owoc swoich trudów,
 W wielkich zdobywców stając rzędzie,
 Niechaj Ojczyźnie swej zdobędzie
 Cześć i braterstwo wszystkich ludów.

Niech dzień ten przyszłość nam zapowie,
 Do której zwolna ludzkość wiodą
 Najszlachetniejsi jej synowie :
 A czyn zamknięty dotąd w słowie
 Najmilszą będzie mu nagrodą.

W ciemności grobu.

Giebie już w ciemność spowitą i w ciszę,
Sen nieprzespany łagodnie kołysze,
Na grozę śmierci oczy ci zasłania
Wiecznemi blaski rajskiego świtania,
I żadnych w sobie udręczeń nie mieści,
I żadnej z życia minionych boleści.

Za to ta cała noc grobu straszliwa,
Mnie bezsennego swym mrokiem pokrywa,
Przez nieomknięte wciskając się oczy,
Widomą grozą serce me otoczy.

Za to mnie śmierci milczenie powleka,
Jak zbudzonego w mogile człowieka,
Co z przerażeniem w tej podziemnej ciszy
Zamierający własny krzyk swój słyszy,
I czuje rozpacz, co nim jeszcze miota,
I całą gorycz zgonu i żywota.

Chór Oceanid.



nieustanny wszech żywiołów sporze,
Nieskończoności wstrząsający morze,
Prądami wciąż się ścierających sił,
Olbrzymia walko, co trwając bez końca,
Zapalasz jedne nad drugimi słońca,
I w ruch wprowadzasz wszechświatowy pył! —

Tyś jest wyrazem twórczej myśli bożej,
Która przez ciebie ożywia i tworzy,
I dzierży wieczny nad światami rząd;
Ty jesteś prawem powszechnem istnienia,
Które wciąż światów powierzchnię odmienia,
I toczy naprzód rwący życia prąd.

Ty wszystkie wrogie potęgę i władze
W żywej wszechświata trzymasz równowadze
I gwiazd krążących obejmujesz ster;
Ty z sprzecznych dążeń i kierunków wielu
Wytwarzasz jedność działania i celu, —
Harmonię wszystkich wojujących sfer.

Wszędzie dokoła, gdzie tylko drga życie,
W bezbrzeżnych głębiach, w gwiazdzistym błękitcie,
Na ziemi, niebie, w ciemnym łonie mórz, —
W tajniach natury i w dziedzinie ducha —
Zacięta walka ogniami wybucha,
W zniszczeniu sięjąc światło nowych zórz.

Na fali wiecznie zmiennej i ruchomej
Wszystkie z nicestwa dobyte atomy
W ciągłych przewrotach o byt walczą swój;
I żywych istot rozmnożone plemię
Zdobywa sobie i wydziera ziemię, —
I bogi wiodą na błękitach bój!

Uśmiech.

Na wstępie życia, przez dobre anioły
Zesłany w darze niewinnemu sercu,
Na ustach uśmiech zjawia się wesoly,
Igra jak motyl na łąki kobiercu.

Tak łatwo leci, tak swobodnie wschodzi,
Nie potrzebując jeszcze nic dla siebie —
Sama go jasność chwil porannych rodzi,
I świeżość wiosny rozlana po niebie.

Później ten uśmiech głębsze bierze piętno,
Za marą szczęścia i piękności leci,
Melodyą uczuć dźwięczy już namiętą,
Ogniem zachwytów i pożądań świeci.

Utracił spokój niewinności błogi,
I falą wzruszeń gwałtownych wybucha,
I na rozstajne wylatuje drogi
Wśród krwi podszeptów i porywów ducha.

A gdy się w ciemnych przepaściach zabłąka,
Przejdzie zawodów kolej i zwątpienia,
Wtedy ach dziwną goryczą przesiąka,
I na szyderczy uśmiech się zamienia.

I twarz złośliwym wykrzywia wyrazem,
Którym chce dusza urągać zatruta...
I brzmi boleśnie i złowrogo razem,
Jak rozstrojonej harfy dzika nuta.

Lecz i ten uśmiech, co swe rany smaga,
I świat wyszydza i światu się skarży,
Rozwieje życia surowa powaga —
Nie da mu powstać na szlachetnej twarzy.

Wtedy znów po nad smutkami wszystkimi
Litośny anioł, który nas osłania,
Przysyła uśmiech ostatni na ziemi,
Uśmiech dobroci, uśmiech pobłażania.

Zapustny obrazek.

Noc zapadła — niebiosa jasne i pogodne
Błyszcą się jakby modre, zamarzłe jeziora,
Tak dla oka są sine, przejrzyste i chłodne, -
Dawno zagaśł ostatni rumieniec wieczora,
A biały odbłask śniegu w powietrze odbity
Dziwną martwością powłókł zmrożone błękity.
Jasność błękitna w górze, srebrzysta u spodu,
Drżącą a chłodną falą przenika świat cały...
I księżyc po niebiosach, jak po tafli lodu
Ślizga się i na pola patrzy co zbielały.
Gwiazd nieskończoność... wszystkie zaiskrzone mocno
Błyskają migotliwym, jaskrawem światelkiem,
Nad miastem, co się właśnie budząc porą nocną,
Zawrzało wesołością i ruchliwym zgiełkiem.
Na ulicach dokoła ruch i wrzawa wzrasta,
Snuje się pełno ludzi a powozy w biegu
Niemiłosiernie skrzypią po przymarzłym śniegu;
Słyszać piosnki hulaszczcze — tu owdzie wśród miasta

Dolatuje muzyka z oświetlonej sali,
Przez okna widzieć można falujące głowy —
Tłum się tłoczy do wejścia, bo to bal ludowy,
A taniec już się zaczął. Kilka ulic dalej,
Wśród orszaku ciekawych, do pałacu bramy
Zastawionej kwiatami, szereg karet liczny
Zajeżdża — a z nich strojne wysadzają damy,
Galonowi lokaje... Bal będzie prześliczny!
Gdzieniedzie po ulicach krzątają się maski
Zdążając na zabawę — djabły, arlekiny;
Trzęsą się wprawdzie z zimna, lecz nie tracą miny,
Biegną wesoło — słychać pusty śmiech i wrzaski.
Wszystko się krząta, bawi, albo bawić żąda —
Nawet nędzarz nieśmiało do szynku zagląda,
Patrząc z niemą zazdrością na szczęśliwe pary
Co się kręcą przy brzęku niestrojnej gitary,
Której pomaga zgrzytem chrapliwa basetła.
Dla niego ta izdebka duszna, odrażliwa,
I ta lampa dymiąca, która ją oświetla,
Ten hałas i ta kłótnia co się nagle zrywa,
Ach, tyle ma uroku i tyle go nęci
Ten napój, co przynosi ulgę dla pamięci.
Zapusty! — nic dziwnego że się ludek cieszy;
Prócz chleba, trzeba jeszcze dla łaknącej rzeszy
Zapomnienia o troskach codziennych żywota,
Odurzenia i szału, dla myśli spoczynku —
A więc wszystkich porwała chwilowa pustota
Zacząwszy na pałacach, skończywszy na szynku.

Przy kominku.

Gdy się ogień na kominku pali,
Lubię grzać się przy jego płomieniu...
I w przekwitłej młodości wspomnieniu
Odgrzebywać te iskry błyszczące,
Co tryskają z płomienistej fali,
I znikają w ciemnościach gasnące...

Złote głoski w ognisku zawarte
W szereg natchnień minionych układam,
Złote mary wstające spowiadam,
O przeszłości mówiące tak wiele,
I na nowo odtwarzam tę kartę,
Co już dawno zastygła w popiele.

Przez girlandy tańczących płomyków
Wzrok mój leci i blaskiem się pieści —
Wszystkie życia prześnione powieści
Pogrzebane w sercu mojem na dnie,
Występują z zamglonych tajników
I przez chwilę znów błyszczą tak ładnie.

Na stos jeden nłożone drewna
Zdają mi się być stosem pogrzebu,
Zkąd burzliwie uleci ku niebu
Ta pogańska wszech bogów kapłanka,
Mara jasnej młodości powiewna,
Biegnać szukać nowego kochanka!

Światła.

Niebieskie światła po drżącym eterze
Ślą jasność swoją w bezbrzeżne otchłanie
A nikt nie dojdzie, z kąd się blask ich bierze?
I jak się w ciemność rozprasza świtanie?
I nikt nie zbada: co? i w jakiej sferze?
Z tej promienistej wędrówki powstanie,
Lecz moc nie ginie i promień skrzydlaty
Do życia nowe powołuje światy.

Tak samo światła ludzkich dusz, co płoną
I po nad ziemią znaczą drogę jasną,
Gdy promieniami w nieskończoność toną,
Chociaż się w ciemność rozproszą -- nie zgasną;
Ale dalekiej przyszłości znikną
Przekazą siłę i słoneczność własną...
Aż z owych blasków rozpieczętych w przestrzeni
Nowa jutrzienka ludzkość opromieni.

Sonet.

Zejdź jasna jutrznio! rozlej światła strumień
Po ziemi życia nowego spragnionej,
Złotym promieniem do dna ludzkich sumień
Sięgnij i blask im nadaj nieskażony;

Rozedrzyj mroczne przyszłości zasłony
I wstydem czoła wąpiących zarumień,
I oczom cheiwym zachwytów i zdumień,
Ukaż odrodzeń szereg nieskończony.

Zejdź jasna jutrznio! Świat przeczuciem tknięty,
Z lochów gdzie nędza z zbrodnią mieszka skrycie,
Z gmachów gdzie orgia dopija swe męty

Wygląda ciebie — w troskach czy przesycie,
I woła — dziwną tęsknotą przejęty,
O świeże, lepsze, szlachetniejsze życie.

Sonet.

Czego ci trzeba dziś, posępny tłumie,
By piersi twoje napęłnić otuchą?
Czego ci trzeba w kamiennej zadumie,
By łzy przywołać na źrenicę suchą!

Anielskie chóry, których twoje ucho
Dosłuchiwało niegdyś w pieśni szumie,
Te dziś przebrzmiały martwo, sennie, głucho...
I serce twoje chwytąć ich nie umie.

Tyś łzy zatracił, myśląc, że cię lepiej
Ośłaniać będzie chłód twój i rozwaga,
Gdy świat ten z złudzeń rozbierzesz do naga

I myśl się w prochu, jak robak, zasklepi —
A oto zawsze niedola cię smaga,
Tylko cię żadna łza już nie pokrzepi!...

Dzisiejszym Idealistom.



Czyliż fałszywy wzbrania wam wstyd
Z obłoków zstąpić do ziemian?
I czynnie walczyć o dalszy byt
Wśród życia wstrząśnień i przemian?

Czyliż sądzicie, iż spadek wasz
Całą wam wieczność zapewni?...
Że odwracacie od ziemi twarz
Bezczynni, a jednak gniewni.

Wprawdzie bogaty wzięliście dział,
Przyjąć dziedzictwo gotowi —
Lecz on na zawsze nie będzie trwał,
Gdy zasiew żniwa nie wznowi.

Kto żyje z plonu dawniejszych lat,
Przeżuwa przodków dostatki..
Temu dowództwo odbierze świat,
A mienie — wydrą wypadki!

Do tych należy jutrzejszy dzień,
Co nowych łakną zdobycy —
Kto się usuwa w ciszę i w cień,
Ten się do żywych nie liczy.

Dziś hasłem walka — i trudno już
Milczeniem przeczyć jej skrycie —
Dziś trzeba zstąpić w sam środek burz,
Potrzeba walczyć o życie!

Napróżno chcecie wykluczyć gwałt
Z duchowej sfery istnienia,
On tylko wyższy przybiera kształt
W głębiach ludzkiego sumienia.

Lecz i tu — walka powszechna trwa,
Podległa duchów potrzebie —
A ten zwycięzcą — kto drugim da
Najwięcej światła od siebie!

Napad na Parnas.

Dobrze było w swoim czasie
W Apollina służbie głodnej,
Mieć kąć własny na Parnasie
Ciepły, cichy i wygodny.

Dobrze było w laurów cieniu,
Pod opieką Muz dziewięciu,
W poetycznym zachwyceniu
Żyć po własnym wniebowzięciu.

Wierne sługi, łaska Feba
Przyodziała w blask sownice,
Wszystko było co potrzeba
Na Parnasie górnym szczycie.

Można było pełną dłonią
Z kastalskiego czerpać źródło,
I oddychać kwiatów wonią
W błogiej ciszy i spokoju.

Do przejażdżki służył stary
 Lotny rumak, co miał skrzydła,
 A śmiertelni nieśli dary
 I pochwalny dym kadzidła.

Nie zła była to dzierzawa!
 Gdy kto innych nie miał włości —
 W gruncie rzeczy dym i sława
 Także godne są zazdrości.

Więc i wielcy, więc i mali,
 Brnąc przez wszystkie życia burze,
 Jak umieli tak się pchali
 Na Parnasu święte wzgórze.

Ten przy lirze, ten przy gęśli,
 Ów z piszczałką nawet licha,
 Wszyscy z góry światem trzęśli,
 A śmiertelni byli cicho.

Chociaż który śpiewał cienko,
 Chociaż czasem rozdarł uszy...
 Lud się pieścił wciąż piosenką,
 Bo melodyę miał w swój duszy.

Aż tu naraz zgiełk i wrzawa...
 Bartki, Wojtki, nawet Kasie,
 Zaprzeczają wieszczom prawa
 Do pobytu na Parnasie.

Gmin się burzy, rwie się czeladź,
 I przekupki i studenci,
 Wszyscy krzyczą: „Siec i strzelać!
 Niechaj giną wniebowzięci!“

Wydostali gdzieś z przedpiekla
 Pozytywnych dział baterię,
 W pękające bomby Haeckla
 Uzbroili artylleryę.

Przypasali miecz Darwina
 Mściwi, groźni i zajadli,
 I do gaju Apollina
 Na drzemiących wieszczów wpadli.

Łatwo rzeszę zgnieść bezbronną,
 Łatwo krwawe sprawić rzeznie,
 Gdy najeźdźcy walczą konno
 Na pochodzeń hipotezie;

Induktywną swą metodą,
 Ewolucyi chytrą sztuką,
 Jednych rąbią, drugich bodą,
 W prawo, w lewo, tną i tłuką.

Nikt nie ujdzie ich pogoni,
 Próżno śpiewny chór się cofa,
 Już nikogo nie zasłoni
 Słodko brzmiącej pieśni strofa.

Wykarmione wieszczym duchem
 Ody, hymny, lub peany,
 Jęczą teraz pod obuchem
 Mechanicznej sił przemiany;

Tren miłosny, lub ballada,
 W swym rynsztunku idealnym,
 Wszystko pierzcha, wszystko pada,
 Przed doborem naturalnym.

Ta broń straszna, w ręce tłumu
 Rozstrzygnięcie daje łatwe —
 W imię świętych praw rozumu
 Apollina biją dziatwę.

Trubadury i minstrele,
 Poetyczne bardów pułki,
 Otrzymawszy sińców wiele
 Przez Parnasu mkną zaułki.

I nie jedna nawet Muza
 Zaskoczona przez studenta,
 Oberwała nagle guza,
 Który długo popamięta.

Aż nareszcie śpiewne bractwo,
 Woła: „Ratuj Apollinie!
 Ukarz jawne świętokradztwo,
 Bo sług twoich ród zaginie.“

„Barbarzyńcy ci zuchwali
 Już niczego się nie zlekną —
 Gdy nie wstrzymasz — pójdą dalej
 Nieśmiertelne burzyć piękno.

„Widzisz panie straszny zamęt,
 Broń więc wiernych od bezprawia...“
 Na te skargi, na ten lament,
 Melodyjny bóg się zjawia.

W złotym blasku uśmiechnięty
 Na burzliwą patrzy młodzież,
 Co napadłszy wzgórek święty
 Potargała wieszczom odzież.

Z olimpijskim bóstw spokojem
 Przed zwycięzców zastęp schodzi,
 I ucisza tchnieniem swoim
 Przemawiając tak do młodzi:

„Zkąd te gniewy? zkąd te krzyki?
 Zkąd ten rozbój mojej służby?
 Zkąd ten cały zamach dziki
 Na śpiewaków, sny i wróżby?

„Zkądże przyszło wam do głowy
 Napaść cichy Muz przybytek,
 I doktryny sztandar nowy
 Na tak śmieszny wziąć użytek?

„Czyż sądzicie, że dorywczo
Zaczerpnąwszy mądrość szkolną,
Już wam pieśni moc ożywcza
Sponiewierać teraz wolno?

„Ja poważam także wiedzę,
I oddaję cześć Minerwie,
Co mieszkając tuż o miedzę
Nigdy badań swych nie przerwie.

„Chcę, by Parnas żył z nią w zgodzie
Korzystając z jej wyroku,
I w kwitjącym Muz ogrodzie
Wieczne prawdy miał na oku.

„Chcę, by kroczył w równej mierze
I otrząsał lutnie z pleśni,
Wszystkie życia prądy świeże
Odtwarzając w swojej pieśni.¶

„Jednak moje wdzięczne państwo
Cel i zakres ma odrębny,
I nie może pójść w poddaństwo
Guwernantki tej bezzębnej,

„Która siostry mój Minerwy
Przedrzeźniając obyczaje,
Wciąż roztrząsa: czyli pierwej
Było kurezę, czy też jaje...

„I nie mogą struny lutni
 Drżące szmerem pocałunków,
 Do uczonych schodzić kłótni,
 Powstawaniem brzmieć gatunków.

„Tej krainy śpiewnych marzeń
 Nietykalną jest potęgą,
 I wśród wszystkich przeobrażeń
 W ideału sferę sięga.

„Gdyż królewska pieśni władza,
 Wieczne swoje panowanie
 Na uczuciach tych zasadza,
 Co nie mogą uleść zmianie.

„Idealnych snów przędziwo
 Wiecznie snuje dla człowieka,
 Serc tęskniących walkę żywą
 W strój piękności przyobleka.

„Piękność, pierwszem dla niej prawem,
 Główną gwiazdą na błękicie,
 Piękność tylko swym objawem
 Nieśmiertelne da jej życie!

„Więc chcąc sądzić w państwie sztuki
 O fałszywej piewców nucie —
 Prócz rozsądku, prócz nauki,
 Trzeba piękna mieć poczucie.

„Komu takiej braknie miary,
 Ten się światu nie przysłuży,
 Gdy poezyi słodkie czary
 I fantazyi gmachy zburzy.

„Wyście przysli jak szkodnicy
 Biorąc sobie za rzemiosło,
 Deptać wszystko bez różnicy,
 Co w ogrodzie mym wyrosło.

„Muszę skarać taki zamach...
 I tej hordzie, która wrzeszczy
 W mej świątyni stojąc bramach,
 Nowy rodzaj stworzę wieszczycy.“

To wyrzekłszy bożek wkrótce
 W napastników wybrał gronie,
 Krzykliwego wziął dowódcę
 Wieńcząc laurem jego skronie.

Złotą lirę dał mu w ręce,
 Tajemnicze wyrzekł słowo,
 I rozkazał, by w piosence
 Streścił światu mądrość nową.

Wnet Parnasu cały wzgórek
 Stanął w niemem osłupieniu,
 Słyszac romans dwóch komórek
 W pacierzowym tkwiących rdzeniu.

Pieśń na nowe pchnięta tory
 Materjalną wzięwszy suknię,
 Do mózgowej sięga kory,
 Po nerwowem pędzi włóknie.

Serc pragnienia i zachwyty
 I myśl każdą i uczynek,
 Wyprowadza z walki skrytej
 Wirujących wciąż drobinek.

W nieprzerwanym kreśli wątku
 Organizmów epopeję,
 Odtwarzając od początku
 Protoplazmy pierwsze dzieje.

I w powszechnej bytu walce
 Przez rodzajów zmiany skacze...
 Aż w rozpaczy łamiąc palce
 Upadają w proch słuchacze.

I błagają: „Wielki Febie!
 Dość tej kary, dość tej męki,
 My o litość prosim ciebie,
 Ucisz dzikie lutni dźwięki.“

Lecz Apollo nieubłagan
 Zapał wieszczą wciąż podsycą —
 I pieśń huczy jak huragan,
 Albo wyje jak wilczyca.


Śpiewa dalej mistrz uparty
Rozdzierając wszystkim uszy —
A tłum widząc, że nie żarty,
Pragnie strasznej ująć katuszy.

Napastników roty bitne
Na złamanie lecą karku,
Swe sztandary gubiąc szczytne
Uciekają z Muz folwarku;

Wszyscy chcą się w ziemię zapaść
By ująć mściwej Feba dłoni —
Taki koniec wzięła napaść,
Ledwie przetrwa pamięć o niej.

Znowu Parnas łśni pogodą,
Znowu spokój w nim głęboki —
Tylko wieszcz dotąd wodą
Okładają swoje boki.

Kwiaty i chwasty.

 Są kwiaty tyle barwne i ponętne tyle,
Że ściągają do siebie pszczoły i motyle;
Stoją wśród zalotników skrzydlatego wieńca,
I nie mają obrony innej prócz rumieńca,
I źle im wróżą wszystkie doświadczone zioła,
Wiedząc, że słodycz lubi i motyl i pszczoła.

Są inne mniej powabne lecz przezorne chwasty,
Co stoją najeżone jak oset kolczasty...
I te przed napastników zuchwałą pogonią
Zabezpieczone — łatwo kolcami się bronią:
I dumne są z zwycięstwa — nie bowiem nie wiedzą,
Że je pomimo kolców wreszcie osły zjedzą.

Pokora poetów.

Niezwykle pokornego spotkałem poetę, —
Wśród poufnej rozmowy przyszedł na myśl Goethe
I mówiliśmy o nim... W tem poeta skromnie
Spuściwszy swoje oczy, odwraca się do mnie
I wręcz mnie zapytuje: Czy zgadniesz kolego
W czem ja jestem właściwie wyższy od Goethego!
Jam zdretniał — a on widząc że nie zgadnę skoro
Rzecz: „Ja jestem wyższy od niego pokorą.“

Uczeni.

Gdy przybędzie do miasta obcy kruk uczony,
Wnet na niego miejscowe napadają wrony,
Dzióbią go bez litości, wyskubują pióra,
Próbując czy grzbiet giętki i hartowna skóra?
Jeśli konieczną mędrcom cierpliwość posiada,
Wtedy go mądre wrony przyjmują do stada;
A do wielkiego bractwa gdy się raz zapisze,
Wolno mu wraz z drugimi dzióbać znów przybysze.

Ironia.

Ironia dziwnem jest ziółkiem, co żyje
Łzami i bólem, a śmiechem zakwita,
Na gruzach szczęścia jako bluszcz się wije,
A w jego wieńcach ruina spowita,
Choć krwawe ślady w łonie swoim kryje,
Zawsze uśmiechem przechodzących wita,
I własną pustkę i smutek wyszydza —
Przed okiem widza.

Marnotrawcom.

Niech nikt sił własnych nadto nie przecenia,
Ani też nadto w swą szlachetność wierzy,
Trzeba się liczyć z czynem poświęcenia
I marnotrawić serca nie należy.
Kto dobrowolnie lepsze swe natchnienia
Wyda na pastwę przechodniów grabieży,
Temu zabraknąć może sił zasobu
Aby z godnością dojść później do grobu.

W albumie.

Nie pytaj próżno o przyszłe losy,
Nie pytaj!
Lecz otwórz ducha pogodne oczy
Na wszystko piękne, co cię otoczy,
W promieniach słońca i w kroplach rosy
Zakwitaj!

Nie zdzieraj szczęścia urojeń wiotkich,
Nie zdzieraj!
Ani nie badaj nazbyt oględnie:
Czy ten kwiat wonny w rękę ci zwiędnie?
Lecz póki pora z kielichów słodkich
Miód zbieraj!

Przechowuj w sercu szlachetną marę,
Przechowuj!
I żyj miłością swego narodu...
A w chwilach smutku, w chwilach zawodu,
O idealną oprzyj się wiarę
Jak powój!

Ciche wzgórze.

Znam ja jedno piękne wzgórze,
Na niem kwitną przy figurze
Przeźroczyste polne róże.

Boża męka pochylona
Patrzy z ciszą i spokojem,
W świat wyciąga swe ramiona
Po nad ziemskim krwawym znojem.

Jak tam słodko, jak tam błogo,
Nie dotknięte bólem, trwogą,
Serca w niebo płynąć mogą,

Tęsknych dumań nic nie zmąci,
Cichnie ludzkiej głos boleści...
Chyba wietrzyk listkiem trąci,
Lekko, śpiewnie zaszeleści.

Kiedy słońce z nieba schodzi
W swojej złotem tkanej łodzi,
W purpurowych fal powodzi,

To nad wzgórkim twarz swą zniża,
Pożegnalnym blaskiem strzela,
I całuje stopy krzyża,
Święte stopy Zbawiciela.

Pod tym krzyżem w pierwszej wiosnie
Z polną różą co tam rośnie,
Wyglądałem w świat radośnie,

Pod tym krzyżem w ranek jasny
Na mogile kwiaty rwałem,
Z tego wzgórza zagon własny
Raz na zawsze pożegnałem.

Więc choć lat już przeszło tyle,
Myślą wracam w dawne chwile
Siąść pod krzyżem na mogile,

Chcę usłyszeć znów o zmroku
Pieśń nabożną tego ludu,
Co się modląc ze łzą w oku
Oczekuje zawsze cudu...

Na grobie Wincentego Pola.

Diebie ach duchy zawiodły łaskawe
Do zdrojów przeszłej pokoleń wielkości,
I moc ci dały dawną wskrzesić sławę,
I ubrać w ciało rozsypane kości.

Na znak twój — przeszłość uśmiechnięta wstała,
I kipi życiem rycerskiej drużyny —
W bojowym szyku proporce rozwiała,
Znów na orężne gotując się czyny.

Znów chrzęszczą zbroje i hussarskie skrzydła,
I z wzdętą piersią arabskie rumaki
Rwą się do boju pomimo wędzidła,
I przelatują jak huragan jaki!

Szlacheckie dworki wypełnione zgiełkiem,
Braterskie uczty, sejmiki i kłótnie,
Wszystko to miga tęczowem światelkiem,
Drży w tonach pieśni uroczu i smutnie.

Wszystko powstało i wszystko ożyło!
Bo śmierć jest kłamstwem w które nikt nie wierzy —
Natchnione serca znajdą pod mogiłą
Gotowych w szranki powrócić rycerzy.

Tyś znalazł słowa zaklęć co z błękitu
Zniknione mary na świat przywołały —
A więc stać będziesz kolumną granitu:
Pomnikiem polskiej i pieśni i chwały.

Egzotyczne kwiaty.

Dod zwrotnikami rosną w lasach kwiaty,
Co przybierają wzory fantastyczne —
Strój ich niezwykły, wdzięczny i bogaty,
Cudowne barwy, wonie narkotyczne,
I nęcą zmysły ich korony świetne,
I te zapachy z pozoru szlachetne.

Każdy z nich postać rzadkiego motyla,
Lub przepych kształtów nieznanych roztoczy,
Z szczeliny drzewa w błękit się wychyla,
Wprawiając w zachwyty podróżnika oczy,
A jednak one soki swoje biorą
Z zgnilizny, w drzewach ukrytej pod korą.

Są i uczucia szlachetne z pozorów,
Rozpromienione całą blasków tęczę,
Nadziemskiej miary, cudownych kolorów,
Jakby anioły, co w błękitach kłęczą,
I rozsiewają idealne wonie,
W których wędrowiec sercem swoim tonie.

A jednak chociaż taki czar roznoszą,
Chociaż cel w sobie przedstawiają wzniosły
I nęcą ludzi nieznaną rozkoszą,
One na drzewie zbutwiałem wyrosły,
Z głębi tajnego powstały zepsucia,
Te fantastycznie błyszczące uczucia.

PRZEKŁAD
TRZECIEJ PIEŚNI PIEKŁA.

Przezemnie droga do boleści grodu,
Przezemnie droga na wieczyste męki:
Do zgubionego na zawsze narodu.

Sprawiedliwości mego Stwórcy dzięki,
Ugruntowana przez moc Boską w bycie,
Wyszłam z Mądrości i Miłości ręki.

Przedemną żadne nie wszczęło się życie,
Prócz odwiecznego — i ja wiecznie stoję.
Rzućcie nadzieję wy co tu wchodzicie!

Te słowa oczy napotkały moje
Na szczycie bramy ciemną barwą znaczne,
Gdyśmy przez straszne nadeszli podwoje.

Więc przerażony naraz mówić zaczęę:
Mistrzu! dlaczego owe słowa ciemne
Takie mnie myśli przywodzą rozpaczne?

Na to on rzeczy znający tajemne,
 Rzekł: tu należy pożegnać się z trwogą,
 Tu zamrzeć winno wszystko co nikiemne.

Idziemy bowiem tą, com mówił drogą,
 Gdzie masz zobaczyć jako cierpią oni,
 Co utracili ducha jasność błogą.

To mówiąc, dłoń swą kładzie na mej dłoni
 I pogodnemi krzepiąc spojrzeniami,
 Do tajemniczej wprowadził mnie toni.

Tu płacz, wzdychania, z głośnemi jękami
 Płyną w przestrzeni bez gwiazd, pełnej cienia,
 Tak że je słysząc, zalałem się łzami.

Różne języki, mowy, złorzeczenia,
 Słowa boleści, gniewu krzyk szalony,
 Zmięszane głosy, rąk klaszczących brzmienia,

Sprawały wrzawę, co na wszystkie strony,
 Wciąż się w powietrzu tem zmartwiałem kręci,
 Jak piasek wirem wichru uniesiony.

A ja bez myśli stojąc i pamięci,
 Rzekłem: Cóż to jest co słyszę struchlały?
 Co to za ludzie takim bólem zdjęci?

A mistrz odpowie: Taki los dostały
 W udziale dusze smutne i mizerne
 Tych, co bez hańby żyli i bez chwały;

Przyszły tu między anioły niewierne,
 Które się przeciw Bogu nie zwróciły
 I nie szły za Nim — lecz zostały bierne.

Wygmane z niebios, których piękność émiły;
 Piekło nie chciało przyjąć w swe otchłanie,
 Bo z nich źli chluby nie mają, ni siły.

A ja znów: Co tak straszego w ich stanie,
 Że taką burzę podnoszą żałości?
 Mistrz odrzekł: krótko odpowiem: Ich trwanie

Tyle jest marne i pełne podłości,
 Że łaknąć próżno śmierci co wyzwala,
 Każdy z nich losu innego zazdrości.

Ich smutna sława po ziemi się wala,
 Przez sprawiedliwość i litość wzgardzona:
 Dość mówić o nich, patrz i mijaj zdała.

Patrzę i widzę jak wirem niesiona
 Wielka chorągiew wciąż się kręcąc, biegła
 Niegodna swoje rozwinąć znamiona,

A za nią ludu ciżba tak rozległa,
 Iż mi uwierzyć było rzeczą nową,
 Że taka liczba śmiercią już poległa.

Gdy rozpoznałem postać tę i ową,
 Dostrzegłem także tego cień nieśmiały,
 Co przez nikczemność splamił się odmową.

Pojałem zaraz, że ten orszak cały
 Składał się z grzesznych, co Bogu niemili,
 Również niemili wrogom Jego chwały.

Tych nieszczęśliwych, co nigdy nie żyli
 Tu obnażonych, kłuły straszne roje
 Os i komarów, aż się krwią broczyli,

I z krwią łązy razem przelewali swoje,
 Co tak zmieszane, z pod ich nogi chciwie
 Wstrętnych robaków połykały zwoje.

Potem gdy dalej spoglądam w podziwie,
 Tłumy nad brzegiem wielkiej widząc fali:
 Mistrzu — zapytam nieco niecierpliwie —

Co to za jedni? i co ich tak pali,
 Że się z pośpiechem cisną do przeprawy,
 Jak to w mdłym świetle poznaję w oddali.

A on: Wiadome będą ci te sprawy,
 Kiedy już nasze zatrzymamy kroki
 Nad Acheronu brzegiem smutnej sławy.

Spuściwszy oczy, zamilkłem bez zwłoki,
 Trwożny, czy mową przykrości nie czynię,
 Do brzegu szedłem w zadumie głębokiej.

A oto ku nam po wodnej głębinie
 Starzec, którego kudły ubielone
 Siwizną wieków, na łodzi podpłynię,

Wołając: Biada! duchy potępione!
 Już nigdy niebios widzieć nie będziecie!
 Ja was przybywam wieść na drugą stronę,

Gdzie między wieczne ciemności pójdziecie,
 W wieczyste żary i w wieczyste lody!
 Ty zaś żyjąca duszo odejdz przecie

Od tych umarłych i od owej wody;
 Lecz widząc, że się nie ruszam — znów rzecze:
 Przez inne drogi, przez inne przechody,

Do innych brzegów przybędziesz człowiecze:
 Lżejsza łódź w innej przeprowi cię porze.
 Wtedy mistrz swoją rozciągnąwszy pieczę:

Charonie! — rzeknie — tak chce Ten, co może
 Wszystko co zechce. A więc uchyl czoła,
 Nie pytaj więcej i nie trwaj w oporze.

Poczem się zaraz uciszyły zgoła
 Wełniste szczęki sternika otchłani,
 Który w swych oczach miał płomienne koła.

Lecz nagim, drżącym duszyczkom w przystani
 Odrazu przestrach odjął barwę z liców —
 Zębami zgrzytać zaczęli skazani,

I przeklinali Boga, swych rodziców,
 Ród ludzki, miejsce i czas i nasienie
 Swego nasienia i jego dziedziców.

Potem zaś wszyscy płacząc nieskończenie,
Zbiegli się razem nad straszne wybrzeże,
Gdzie dla bezbożnych wspólne przeznaczenie.

Charon ich zaraz płomiennem dostrzeże
Okiem i wiosłem powolnych okłada,
Aż ich tak wszystkich do siebie zabierze.

Jako jesienią liść za liściem spada,
Aż w końcu gałęź pozostanie czarną,
Oddawszy plon swój ziemi — choć nie rada,

Podobnie tutaj złe Adama ziarno
Rzuca się z brzegu, jedno drugie goni,
Jak ptaki co się do odlotu garną.

I tak wędrują po brunatnej toni;
A zanim jedno ztąd odejdzie mrowie,
Znów nowy szereg ztamtąd się wyłoni.

Synu mój — do mnie mistrz uprzejmy powie —
Ci co w niełasce umierają Bożej,
Wszystkich stron świata schodzą tu synowie!

I owe wody przebywać są skorzy,
Bo sprawiedliwość tak ich prze surowa,
Że pragną właśnie tego — co ich trwoży.


Dobry duch tutaj, to rzecz całkiem nowa;
Więc przeto Charon z gniewem cię wspomina,
Lecz ty już poznasz jak brzmi jego mowa.

Skończył — a cała przekłeta kraina
Tak się trząść zacznie, że dziś jeszcze z trwogi,
Gdy wspomnę, dreszcz mnie przechodzić zaczyna,

I z tej łez ziemi wicher wyszedł srogi,
I blask rozniecił ohydny, czerwony,
Co wszelkie czucie odjął mi wśród drogi,
Żem padł jak człowiek od snu zwyciężony.

W oczekiwaniu jutra.

I.

 Są szczęśliwi — co mogą witać jutro świata
Upojeniem rozkoszy, okrzykiem wesela,
Pewni, że przyszłość w dary najświętsze bogata,
Anielskim chlebem życia ludy poobdziela.

Lecz my — których dzień każdy do ziemi przygniata,
I głębiej w piersi wbija nóż nieprzyjaciela,
Nie możemy z ufnością patrzeć w przyszłe lata,
Ni sławić nowej ery piosenką minstrela.

My patrzymy z niewiarą na świetne zdobycze,
O których upojone dziś narody marzą —
I nie spieszymy blaski podziwiać zwodnicze,

Co krwawemi łunami nasze oczy rażą —
Lecz ku przeszłości swojej odwróceni twarzą
Czekamy — co przyniesie jutro tajemnicze...

II.

Dość długo grywaliśmy tu na świata scenie
Rolę Danaid — smutną robotą zajęci,
W bezdenną otchłań lejąc krwi swojej strumienie,
Topiąc w niej wszystkie myśli, uczynki i chęci.

Teraz już nam nie wolno po tak strasznej cenie
Kupować chwili złudzeń co bezsilnych nęci;
Dziś nam nie wolno rwać się na oślepie w płomienie,
By dźwięk imienia ludzkiej przekazać pamięci.

Dziś naszym obowiązkiem trwać w milczeniu głuchem,
Z karnością postawionych na czatach żołnierzy,
Nie zdradzając się żadnym okrzykiem lub ruchem;

Dziś tylko — wolno naprzód posuwać się duchem,
I przysposabiać sobie siły zasób świeży,
Zanim nam Bóg obronę przyszłości powierzy!

III.

Ciężko! trwać tak zgnębionym wśród zwycięzców
[wrzawy,
Gdy terażniejszość dalej kroczy wciąż wyniosła;
Ciężko! nie mieć na ziemi dla ducha podstawy,
I patrzeć jak nas ludzkość o głowę przerosła.

Ciężko w niepewną przyszłość płynąć jak cień krwawy
Na wrzącej fali zdarzeń bez steru i wiosła,
Nic nie uronić z skarbca świętości i sławy,
I czuwać by nas rozpacz w odmęt nie uniosła.

Jednak trzeba zagadkę rozwiązać sfinksową,
Zgodzić sprzeczne warunki życia, co z zwałiska
Wschodzi i na dzień jasny przez grób się przeciska

Trzeba z cieniu i pleśni dobyć myśl dziejową,
I ze światem żyjących pojednać na nowo,
W imię świtu wolności, co dla wszystkich błyska!

Spis rzeczy.

	Str.
Album pieśni	59
Astry	104
Barkarola	89
Baśń tęczowa	33
Ból zasnął	85
Bóstwo tajemnicze	53
Chór Oceanid	195
Ciche wzgórze	225
Czarodziejka	172
Dałam ci moc	107
Daremne żale	82
Dlaczego wicher tak wyje?	77
Do młodych	190
Dwa anioły	170
Dwie fazy	184
Dzieje piosenki	109
Dzisiejszym idealistom	207
Egzotyczne kwiaty	229
Epaminondas	178
Gdy ostatnia róża zwiędła	102
Giewont.	153
Ironia	222
Jestże to prawdą?	87
Kantata na jubileusz J. I. Kraszewskiego	192
Kopciuszek	103
Kościeliska	128
Król Juba	15
Kwiaty i chwasty	219

	Str.
Letni wieczór	137
Limba	140
Lykofron do fatum	47
Łabędzi śpiew	71
Maciejowi Sieczce	146
Marnotrawcom	223
Mgławice	79
Miłość jak słońce	94
Morskie oko	123
Mozaika	157
Na grobie Wincentego Pola	227
Najpiękniejsze piosnki	63
Napad na Parnas	209
Na początku	91
Na zgon poezji.	159
Nie mów	111
Nieśmiertelni	98
Ngc pod Wysoką	131
Ociemniały Thamyris	23
Oda	186
Odpowiedź przeszłości	180
Panienczka	100
Podczas burzy	139
Pokora poetów	220
Powrót do domu	9
Preludium	61
Przekład 3ciej pieśni piekła	231
Przeminął czas	1
Przy kominku	202
Ranek w górach	120
Rozłączenie	68
Sam na sam	163
Sonet	205
Sonet	206

	Str.
Światła	204
Szcześliwa młodość	93
Tantal	175
Teatr w Tusculum	166
Tym, którzy smutni	186
Uciszyć się serce!	74
Uczeni	221
Ulewa	144
Uśmiech	198
W albumie	224
W ciemności grobu	195
W oczekiwaniu jutra	238
Wodospad Siklawy	142
Wstęp	115
W Tatrach	113
W wieczny cień	96
W zimowej nocy	65
Zaczarowana królewna	83
Za moich młodych lat	84
Zapustny obrazek	200
Z egipskiego rytuału zmarłych	41

INSTYTUT
 BADAŃ TERACZICZNYCH PAN
 Biblioteka
 ul. Nowy Świat 72
 00-730 Warszawa
 Tel. 28-68-63, 28-82-31 w. 42



F 46/3